

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV

Łódź, 24 sierpnia 1947 r.

Nr 33 (112)

Stanisław Śreniowski

Historiografia polska a dzieje chłopów

Dzieje chłopów i historia wsi. Czy są to dwie pary synonimów: dzieje i historia, chłop i wieś? Historyk powinien temu zaprzeczyć jak najbardziej stanowczo.

O zmianach struktury społecznej na wsi nie trzeba przypominać, w końcowych swoich fazach dzieją się one na naszych oczach, wieś chłopska wyrugowała już dwór, współżyje jeszcze z parafią. **Wieś pańska przestała istnieć.** Jako jednostka ustrojowa już od uwłaszczenia, jako zespół ulegający działaniu sił gospodarczych i jako środowisko obserwowane przez socjologa — o wiele później, poprzez wszystkie reformy rolne, do ostatniej najradkalniejszej.

Wieś i chłop — to synonimy społeczne tylko na pewnym etapie rozwoju dziejowego. Jeżeli dotąd byliśmy świadkami wyzwalania się socjalnego wsi chłopskiej, to w perspektywie rysuje się proces włączanie się wsi we współczesną rozwiniętą technikę przemysłową, co może znów ogromnie zmienić oblicze wsi i charakter jej mieszkańców.

Dzieje i historia. Może nigdzie silniej nie ujawniają się różnice obu tych pojęć jak w sprawie chłopów. Dzieje chłopów to to wszystko, co działo się z nimi w przeszłości, to przebieg ich losów, to ich całe minione życie, oczywiście życie społeczne, to dzieje warstwy chłopskiej, a skoro warstwy — w takim razie w jakimś systemie ustrojowym, obok innych warstw, w jakimś zestawieniu do nich, w konfliktach socjalnych z nimi.

Czy takie dzieje chłopów były przedmiotem historiografii naszej?

Historia wsi posiada w dziejopisarstwie naszym o wiele pokątniejsze miejsce niż się to wydaje. Jeżeli historia państwa polskiego jest historią państwa przede wszystkim szlacheckiego, a historia szlachty — głównie historią dworów na wsi i pańskich kompleksów majątkowych wiejskich — to historia ta stanowi właściwie i jedną z form historii wsi w Polsce. Ale historia ta nie respektuje dziejów chłopskich, nie ku nim naprzeciw wychodzi, a przeciwnie — ignoruje je, przeprowadza poprzez przeszłość cięcie zupełnie inne, korzysta z punktu obserwacyjnego od strony dworów właśnie, a nie wsi chłopskiej, a to sprawa zarówno materiału historycznego, jak i ideologicznego.

Mówi się, że niektóre narody (ludy) nie mają historii, mistycy uważają, że narody nieszczęśliwe, ewolucjonisci — że społeczeństwa na prymitywnym stopniu rozwoju. Idzie tu ponoć o brak samowiedzy historycznej, a może przede wszystkim o brak wyraźnej czy pełnej samowiedzy politycznej. Należałoby uzupełnić tamto stwierdzenie w odniesieniu do warstw społecznych: **niektóre warstwy społeczne nie posiadają historii;** moralisci powiedzieli by, że warstwy nieszczęśliwe, historyk powie raczej, że warstwy nie posiadające jeszcze samowiedzy społeczno-politycznej. W konkretnym systemie, w określonym ustroju jest to cecha tej warstwy, która podporządkowana została innej i pozbawiona samodzielności społecznej. Podporządkowana gospodarczo, prawnie i kulturalnie. Taka była właśnie pozycja chłopów w ustroju feudalnym.

Dzieje dzieją się i mijają. Zadaniem historii jest uchwycić je i wyrazić. Historia to przedstawienie dziejów, to obraz przeszłości — a zatem konstrukcja z informacji dotyczących przeszłości, konstrukcja, w której organizacyjną rolę musi odgrywać jakaś koncepcja, jakieś założenie, jakaś myśl przewodnia, jakaś postawa wobec spraw i zdarzeń.

Historia jest i musi być zawsze polityczną, chociażby pozwalała na najbardziej beznamiętną i prawdziwą. Stosunek do ma-

teriałów źródłowych może być u historyka najrzetelniejszy, ale to nie włącza wpływów „zasadniczej, ideologicznej postawy historyka wobec spraw, o których ma mówić. Obraz dziejów jest przedłużeniem obrazu współczesności; historia stroni w dyscyplinie humanistycznej i nie jest do pomyślenia w oderwaniu od doświadczeń tych, którzy się nią zajmują. Jeżeli nie trzeba już dzisiaj dowodzić, że obraz współczesności jest i musi być polityczny, że widzi się rzeczywistość społeczną z określonych pozycji społecznych i ideologicznych, to to samo musi się odnosić i do obrazu przeszłości, do historii. Czyżby pogląd na pewien fakt współczesny może wydać się niezwiązany z jego postawą polityczną, ale spojrzeć głębiej, przemysleć dalsze konsekwencje społeczne tego poglądu, a wówczas z reguły ujawni się związek z podstawowymi założeniami życiowymi, z pozycją, warunkami i perspektywami społecznymi tego, który ów pozornie bezstronny pogląd reprezentuje, względnie grono, do której społecznie należy. Poglądy historyczne — najbardziej obiektywne w sensie zgodności z materiałami źródłowymi — są i muszą być w tym samym stopniu polityczne, ponieważ obraz życia społecznego jest tak samo silnie uwarunkowany postawą społeczną obserwatora, czy dotyczy on współczesności czy przeszłości.

Jakże mocno występuje to zjawisko w historii chłopów!

Można mówić o roli społecznej historii chłopów, tj. o roli społecznej obrazu przeszłości chłopskiej, jaki daje historiografia. Historia chłopów zawsze służyła wyraźnym celom społeczno-politycznym, historia chłopów określała najplastyczniej obóz ideologiczny, z którego wyszła.

Dzieje historii chłopów — w tej płaszczyźnie obserwacyjnej — zacząć by należało od epoki, w której chłop historii nie posiadał jeszcze, kiedy o przeszłości chłopów nie pisało się jeszcze, kiedy stanowili oni tylko przedmiot zainteresowania ze względu na aktualne zabiegi, kiedy widział się ich tylko w zespole innych czynników życia gospodarczego. Nb. był to okres gospodarki pańszczyźnianej, wielkiej własności ziemskiej i jej wszechstronnej supremacji.

Dzieje chłopów toczyły się nieprzerwanie, historii chłopów nie było wcale, historii chłopów nie posiadali i ta nienapisana historia chłopów spełniała pierwszą wielką rolę społeczną, służyła ustrojowi szlacheckiemu, przemilała istnienie tych ogromnych dóbr społecznych, warunkujących gospodarkę egzystencję dworów i dworaków, umacniała ówczesną strukturę, ubezpieczała ją przez pogrążanie w niepanię klasy wydziedziczonych, utrzymywała chłopów w roli niekulturowej, bezmiennej masy, nie mającej innego przydziału społecznego poza dokładnie określoną funkcją w aparacie produkcyjnym wielkiej własności.

W „życiu człowieka pocziwego” słodycze wszystkich pór roku szlacheckiego wynikały z urządzeń boskich, mechanizm przyrody i „dowcipu” szlacheckiego — **masa chłopska została szczelnie odgródzona od barwnej sceny życia szlacheckiego,** a marionetkowe postacie sielankowych chłopów wprowadzano na nią jedynie ku ucieście pańskiej publiki i dekoracji.

Państwo było dla „obywateli”, Rzeczpospolita była rzeczą pospolitą szlachecką, istniała historia państwa i historia szlachecka, która by się mogła domyśleć z tekstu tych opowieści, że poza kilkuset dworakami, w których agitowały się sprawy Rzeczypospolitej, było jeszcze coś... kilka milionów ludzi.

W nienapisaną historię chłopów w Polsce uderzyły jednakże wypadki polityczne. Rozbiory, cały okres upadania państwa,

nie wstrząsnął nią zbyt; upadało państwo szlacheckie. Dyskusja nad naprawą Rzeczypospolitej, spóźnione próby reform, deklaracje Sejmu Wielkiego i rządu Insurekcji — to wszystko, jakkolwiek postępowe — nie tylko działo się w ramach niezmienionego ustroju społecznego, ale też dla obrony tego właśnie ustroju! Historia chłopów nie mogła być napisana i nadal.

Niewiele mógł pomóc chłopom i romantyczny „ludowy”, literacki powieś z emigracji zachodniej między powstaniem, powiew przenikający historiografię szkoły lelewelskiej, podobnie jak ludowość poezji romantyków w kraju spełniała raczej rolę uroczej przesłony wobec rzeczywistego problemu społecznego tego czasu.

Nienapisana historia chłopów spełniała nadal swoją poważną funkcję szlachecką przez całą jeszcze połowę XIX w., póki sprawa nie pękła od strony pierwszych gruntownych przemian społecznych, względnie nieuchronnego ich zbliżania się w postaci uwłaszczenia. Uwłaszczenie w Prusach i w Galicji, nastroje przeduwłaszczeniowe w Cesarstwie Rosyjskim, dyskusja nad sprawą chłopską w Królestwie Polskim — i ostatnia próba znowu spóźnionej obrony przed „rewolucją”: idea oczywistego uwłaszczenia chłopów. W tych latach kryzysu społecznego ogłoszony został w Bibliotece Warszawskiej symptomatyczny szkic piora Tadeusza Lubomirskiego o ludności rolniczej w Polsce!

Historia chłopów dochodziła do głosu. Ale czy istotnie historia chłopów? Pisana z punktu widzenia oczywiście szlacheckiego, była odpowiedzią na reformy uwłaszczeniowe przeprowadzone już we wszystkich państwach rozbiorowych i — stanowiąc wyraz postępowej myśli szlacheckiej, była odpowiedzią na uwłaszczenie zdecydowanie negatywną. Reformy — owszem, ale tylko pod postacią dzierżaw chłopskich — na pańskim! i czynszu chłopskiego — dla dworu!

Uwłaszczenie chłopów w Królestwie — idea powstania 1863 r. i ukaz carski 1864 roku stworzyły warunki dla nowej historii chłopów i taką nową historię chłopów — syntezę przed monografią — przyniosło w 1874 r. dzieło W. A. Maciejowskiego, uwieńczone nagrodą Późniejszego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Maciejowski stał już na gruncie dokonanych reform.

Następne półwiecze oświeconie zostało w historiografii ogromną wręcz ilością prac monograficznych, w tym pewna, drobna zresztą w całości część ich pobrała i o zagadnienia chłopskie. Punkt widzenia, punkt wyjścia w tych pracach?

Redaktorowie „Kwartalnika Historycznego” tak oceniają tę sprawę z perspektywy 1946 r.: „W badaniach dawniejszych w dużej mierze (!) zajmowano się położeniem chłopów w Polsce w różnych okresach dziejów, ale w ramach badań nad strunami gospodarczymi w ogóle — dziś w wyższym stopniu niż dawniej interesuje chłop jako podmiot dziejów”.

„W ramach badań nad stosunkami gospodarczymi w ogóle” — przetrłumaczmy to na język struktury społecznej. **Zajmowano się chłopem od strony organizacji wielkiej własności ziemskiej, majątków pańskich i ich gospodarki.**

Rzucmy jeszcze okiem na kilka późniejszych syntez historii chłopów w Polsce. W syntezach zasadniczą postawą ideologiczną musi być wyrazista niż w studiach drobniejszych: syntezy te znaczą drogę jak historiografia nasza sekundowała przemianom społecznym, zbliżającym się i dokonywanym już.

W r. 1910 ogłosił u Gebethnera i Welfa część pierwszą „Historii włościan w Polsce” Antoni Marylski-Luszczyński. W toku wykładu jawnie deklarował swe poglądy. Uważał, że „naturalna jest rzecz,

że klasa rolnicza (scil. chłop) **zajmuje pośledniejsze miejsce w hierarchii społecznej**”, wyznawał ideę podniesienia chłopów i uobywatelnienia w sensie jakby uszlachecenia, sugerował, że chłop przejmując całe dziedzictwo narodowe, choć wytworzone nie przez nich, bo szlachta — według niego — była przecież z nich, z chłopów.

Polityczne perspektywy tych pseudopostępów poglądów wystąpiły w całej jasności w drobnej broszurce, wydanej przez Marylskiego w osiem lat później, w czasie wojny, w 1918 r. Formuła cenzury władz okupacyjnych: „Geprüft und freigegeben durch Kais. Deutsche Presseverwaltung, Warschau” datowana jest 11 września roku 1918. Dokładnie w dwa miesiące później zaczęła swój byt nowa Rzeczpospolita Polska — według konstytucji już nie szlachecka, a mająca wkrótce zamianować kierunek zamierzonego rozwoju społecznego treścią ustawy o reformie rolnej.

Broszurka Marylskiego składa się z dwu części. Pierwsza zaopatrzona wymownym tytułem: „Nauka i sztuka wywłaszczania” stanowi jedną z najwcześniejszych „odpowiedzi” wielkiej własności w Polsce na rewolucję bolszewicką i niebezpieczeństwo przewrotu społecznego także i u nas. Marylski uderza odrazu w najwyższy ton: idealizmu i patriotyzmu: „Ci którzy w imię i dla dobra Ojczyzny ponoszą ofiary czy na polu bitew czy też w znojnę i pełnej zaparcia się pracy poza frontem bojowym, snują sny złote o przyszłej potędze, sławie i szczęściu swej ziemi rodzinnej” — i natychmiast zasadniczą dyskwalifikacją moralną przeciwnika: „Inni znów, zapatrzeni w swój interes osobisty, myślą wyłącznie o korzyściach, jakie będą mogli osiągnąć przy spodziewanych i upragnionych przez nich wstrząśnięciach społecznych”.

Nie ludźmy się, to nie oderwane dywagacje etyczne. Idzie o sprawę ustroju rolnego w Polsce. Zagadnienie rolne ma w naszym kraju — snuje myśl swoją Marylski — „znaczenie ogólnonarodowe, lecz powiedzmy sobie otwarcie, nie inne potudki je wysunęły, nadały mu drażliwy charakter, jak zwykła pozioma pożądlivość, czyli te same czynniki natury ludzkiej, które dały początek bolszewizmowi rosyjskiemu”. Ale Marylski jest optymistą: „Miejmy nadzieję — pisze on — że większość ludzkości okaże zgoda odmienne jak społeczeństwo rosyjskie oblicze, oblicze wyszlachetnione wielkimi cierpieniami i próbami wojny wszechświatowej”. Nie tylko zresztą na tym wyszlachetnieniu cierpiętniczym buduje swoje nadzieje Marylski. „Jednostki czy też grupy narodów w kulturze zachodniej, do której i nasz naród się zalicza — pisze on — wskutek wszczepionych zasad uczciwości, poczuciaładu i poszanowania cudzej własności są krepowane przy występowaniu z swoimi pożądlivościami, z żądaniem cudzego mienia.” A więc odwołanie się do kultury zachodniej — pamiętamy, że idzie o wywłaszczenie wielkiej własności.

Wreszcie sugestia ekonomiczna — widocznie dla tych, którzy nie wyszlachetnieni i niekulturalni, a tylko poziomie pożądlivi, mogliby pozostać głusi na argumentację idealistyczną: „Interes włościanina — upewnia Marylski — łączy się z interesami każdego wogóle posiadacza ziemi, mianowicie z dążeniem osiągnięcia jaknajwiększej ilości zbiorów i najlepszego spieniężenia takowych. Większy czy mniejszy rolnik podobnymi sposobami i w jednym celu pracuje na swoim zagonie, a większe gospodarstwo, rozporządzające większym zasobem wiedzy i większymi środkami, dochodzi prędzej do doskonałości i stanowi wzór dla drobnego rolnika”.

A zatem idea solidaryzmu społecznego i rola wielkiej własności w życiu chłopów i

gospodarstwa narodowego. „Rola dworu polskiego — formułował esencjonalnie Marylski — nie skończyła się na wsi i spełniać on musi w dalszym ciągu swoje posłannictwo dziejowe”. Tak pisało się w 1918 r.!

Dwór polski reagował na niebezpieczeństwo reformy rolnej karnością: „Wszystkie kombinacje rozstrzygnięcia sprawy agrarnej zapomocą wywłaszczenia są nierealne; rozpętywanie burzy społecznej w chwili, gdy cały naród stać winien ramię przy ramieniu, dla osiągnięcia lepszej przyszłości, jest to występkiem wobec ojczyzny. Bo nawet gdyby świat cały objęty był ogniem rewolucji, my Polacy jeżeli chcemy tworzyć jeszcze państwo, winniśmy jednemu zachować i iść w zwartym szeregu”. To apel do polskości.

„Od naszego socjalizmu powiało duchem tzw. równości, która jednak wyklucza wolność, bo kto jest równym majątkowo, umysłowo, moralnie nie może być wolnym w swych zabiegach życiowych, wyróżnieniu się swoimi zdolnościami, pilnością, nauką, umiejętnością tworzenia, oszczędzania, pracowania”. To apel do panów i niewolników. Równość jest wrogiem wolności — wolności tych nb., którzy korzystają z nierówności.

W drugiej części broszurki przedstawiał Marylski własny „program agrarny”, względnie „zamierzenia rolne” — tych, którym groziło wywłaszczenie.

„Ustrój społeczny opierać się winien — oczywiście — na niewzruszalnym prawie własności osobistej. Z programu agrarnego wyklucza się zasadę wywłaszczenia”. „Prawieczny stosunek mas włościańskich i ziemiańskich do ziemi wytworzył uczucie przywiązania do niej, a to jako czynnik wielkiego znaczenia moralnego i kulturalnego budzi wyższego gatunku pierwiastki duchowe, które biorą górę nad poziomymi instynktami, spekulacji i groszorbustwa”. I gorący okrzyk: „Wszak przywiązanie do ziemi pozwoliło nam na Wschodzie utrzymać swoją placówkę i stan posiadania” — poczym pyszne dopowiedzenie rzeczy: „Polską rolę kocha nie tylko ten, który na niej siedzi, ale tęskni do niej cały szereg polski, jako odwieczny naród rolniczy. Pragnienia te nie wyrażają się w formie dążenia do użytkowania ziemi, ale do jej posiadania, gdyż posiadanie jest nierozłącznym przywilejem, nierozłączną częścią mocnego uczucia”.

Nie trudno zastąpić to słownictwo psychologiczne — społecznym: „Polską rolę „kocha”, nie tylko chłop, który na niej sie-

dzi — ale tęskni do niej jeszcze kto inny — nie w formie dążenia do użytkowania ziemi (to pozostawia się chłopom) ale do posiadania ziemi. Dwory pańskie muszą mieć przecież bazę materialną, posiadanie zatem stanowi nierozłączną część mocnego uczucia ich mieszkańców.

W tej sytuacji program agrarny sprzeciwiał się do postulatów kolonizowania ziem „na obszarach historycznych” Polski oraz uregulowania sprawy wychodźstwa” (?). Kapitalnym rzekomo argumentem przeciwko reformie struktury rolnej miało być to, że i przy zastosowaniu powszechnego wywłaszczenia nie znalazłoby się dosyć ziemi na pełny nadział bezrolnych i małorolnych (Marylskiego interesowały tylko cyfry z Królestwa). Zachowanie istniejącej struktury społecznej ziem polskich — oto ideał tej warstwy, którą reprezentował autor „Historii włościan w Polsce”.

W latach 20-tych Władysław Grabski ogłosił dzieło pt.: „Społeczne gospodarstwo agrarne w Polsce”, następnie w przeróbce jako „Historię wsi w Polsce”. Jest to w pewnym sensie reprezentacyjna dla Polski z okresu między obu wojnami pozycja, mająca zastąpić historię chłopów w Polsce.

To jest specyficzna historia chłopów, historia chłopów jako składnika „gospodarstwa agrarnego” czyli ustroju rolnego w Polsce. Na kartach tej książki znajduje Grabski miejsce na obronę walorów wielkiej własności — komponenta obrazu, struktury gospodarczo-społecznej Polski współczesnej.

Zamykam ten przegląd oceną historiografii naszej w odniesieniu do dziejów chłopów, jaką zawarłem w swoich „Dziejach Chłopów w Polsce” (1947 r.): „O ile u pisarzy staropolskich, stanisławowskich i emigracyjnych oraz pozytywistycznych dźwięczy ton szczerzej życiowości dla sprawy chłopskiej, o ile wszyscy oni walczą o postęp, a przynajmniej sekunduja reformom, to w ostatnim okresie historycy jakby odstępowali sprawy chłopskiej, próbując zrehabilitować przeszłość bądź przez korzystne rzekomo dla Polski porównanie stosunków polskich z położeniem chłopów w innych krajach, bądź przez tłumaczenie niedoli i niewoli chłopów naturalnymi czynnikami rozwoju. Są zwolennikami reform umiarkowanych, hamowanych, nie sekunduja wzbierającemu ruchowi społecznemu mas chłopskich”. C. d. n.

Stanisław Śreniowski

Juliusz Nowak-Dłużewski

Muzeum Świętokrzyskie i Biblioteka Wojewódzka w Kielcach

Należy pisać o nich razem, bo powstały równocześnie.

Obie te instytucje są dziećmi reformy rolnej. Kiedy na podstawie dekretu PKWN ziemia dworska na terenie Kielecczyny po jej wyzwoleniu spod okupacji niemieckiej przeszła w posiadanie chłopów, wyposażenie wewnętrzne dworów o wartości artystycznej i kulturalnej, stało się własnością Państwa. Województwo kieleckie w południowo-zachodniej swej części, ziemi loessów i rdzin, było siedzią wielu zamożnych rodzin ziemiańskich, zasiadających tu od stuleci, które, czy to z zamiłowania, czy ze snobizmu, kolekcjonowały przez szereg pokoleń cenne obrazy, stare i szacowne meble, wartościowe książki. Wymienić tu można przykładowo Chroberz Wielkopolski i Sancygniów Deskurów. Część południowo-wschodnią województwa (Sandomierskie), również obfitująca w zamożne dwory, uległa wielkiemu zniszczeniu w okresie letnich i jesiennych walk r. 1944. Nie tylko chałupa, ale i dwór padał ofiarą walk na przyczółku. Do niepowetowanych strat należy, na przykład rozproszenie cennych zbiorów muzealnych w Kurozwękach Popielów, o których mówiono, że przewyższały swą wartość całe wcale niemałe latifundium kurozwęckie. Padły one ofiarą nie tylko wojny, która oszczędziła zamek kurozwęcki (z czasów jeszcze kazimierzowskich), ale — w trakcie walk przyczółkowych — nieroztropności ludzi, którzy mieli w swej dyspozycji zbiory kurozwęckie.

Inter arma silent musae. W ogniu dokonywanej reformy rolnej więcej również pamiętano o ziemi, sprawie realnej, praktycznej, niż o tym, co zamykają w sobie ściany dworów, o rzeczach zbytku, luksusu życiowego. Ale i to stało się przynętą dla prywatnej pożądliwości ludzkiej. Pastwą jej padały w pierwszej linii przedmioty o wartości praktycznej, pociągające w dodatku zewnętrznym bogactwem, splendorem. Rzadko kto z przygodnych intruzów mógł się poznać na wartości, nieraz wielkiej, obrazu czy cennego, choć niepozornie wyglądającego, mebla. Przecież jeszcze latem 1946 r., a więc już bardzo późno, szperając po okolicy, natrafiłem na śliczną barokową komódkę, która w zaniedbanu i samotnie stała w jednej z opustoszałych izb dworu w Czaplach Małych (pow. miechowski), nie znalazłszy na siebie amatora. To samo da się powiedzieć o gdańskich zydach z tych samych Czapel. Ale taka np. porcelana wędrowała od razu z kredensu dworskiego do komory wiejskiej, jeżeli nie na targowicę miejską. Im porcelana była starsza, a mniej optycznie atrakcyjna, z tym większą bezceremonialnością obchodzono się z nią. W taki sposób przepadało kilkanaście dużych pak porcelany koreckiej ze Ścioborzyc (pogranicze pow. miechowskiego i olkuskiego), której się nie udało odzyskać dla Muzeum mimo długich i męczących starań oraz zabiegów. Rozpłynęła się po okolicy, o ile przedtem nie została wytłuczona i wyrzucona do rowów przyczołkowych podczas wędrowek ze Ścioborzyc do Ścioborzyc.

Bywało również inaczej. Cenny księgozbiór z Nagłowic mógł się znaleźć bez większych strat w Kielcach tylko dlatego, że komórka PPR w Nagłowicach otoczyła go opieką i nie pozwoliła na rozbieranie przez przygodnych amatorów. Biblioteka w Bejskach dostała się do Kielc chyba w całości dzięki opiece paru inteligentnych osób z miejscowej rzemieślniczo-małorolnej ludności.

Jeszcze w ostatnim roku okupacji niemieckiej w Kielcach grupa osób złożona z pp. Jana Czarnockiego, Edmunda Massalskiego, prof. Bohdana Pniewskiego, prof. Kazimierza Skórewicza oraz podpisanego, zaczęła prowadzić studia teoretyczne nad zagadnieniem metod badania kultury regionu kieleckiego. W grupie tej zrodziła się inicjatywa użytkowania a to podworskich dzieł sztuki woj. kieleckiego — a to na podstawie wspomnianych wyżej dekretów rządowych — dla ufundowania miej-

scowego muzeum, muzeum kieleckiego (muzeum pod nazwą Świętokrzyskiego istniało w Kielcach jeszcze przed wojną, ale to w bardzo skromnych wymiarach, zwłaszcza jeżeli chodzi o dział sztuki). Tzw. Komitet Organizacyjny Muzeum Regionalnego w Kielcach, do którego weszły wymienione wyżej osoby, działający pod przewodnictwem Juliusza Nowak-Dłużewskiego, uzyskał od Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków mandat organizowania muzeum kieleckiego z podworskich dzieł sztuki województwa. Osoby te przed wojenną warszawską konseksję prof. Bohdana Pniewskiego walczyli o uzyskanie akceptu pomysłowi oraz właścicieli funduszy na akcję organizacyjną i przelewu ich z centrali w ręce ludzi Naczelnej Dyrekcji dotychczas nieznanych.

Jan Maria Gisges

O B Ł A W A (fragment)

W tętnie nocy nierównym przepływał strunami od Suchej Woli, Sawicy, od Rybwan i Klasztoru skowyt psi — po horyzontcie łapami wycia drapał padając na echa boru liści poruszeniem. Czasem spojrze nie padało wstecz. I wtedy źrenice nabierały koloru luno przygiętej, wspartej o przestrzeń.

Las został w tyle. Omijali wsie, by rozbudzone ujadanie nie zdradziło wrogom kierunku ucieczki. W brzdach deptanych kryło się konanie nalatujących głosów, gdy same brzezki ledwo widocznych zagród i drzew baranie przyszywały gromniczny odbłask misterny niby koroneczki przy kolnierzu z traw miedzi i granie.

Miesiąc ostrym swym końcem tkął obłoków zielonkawych wełnę leniwie na ubiór dnia, którą słońce rozprasuje blaskiem. Noc jak dzieła pełna ciasta kipiała nienazwanym lekkiem, a na łunie zawisł płacz jesienny najdłużej niespokojnym jękiem.

W rozmowach (nie wiadomo dlaczego zeiszonych) cienie przedłużały niewidok, a skracali odległość — Oczy ustom w grymasie podawały smak słony — O! Domów podśienia w milczeniu zbyt trudnym — dawno nienawiedzane. Cóż? Chat ich strzegły od nich dalekości. Myśli jeno zsypywali jak do urny.

Niebo już szarzało od wschodu, kiedy zeszli ze wzgórza i przecięli szosę, blonie, wchodząc w wikliny. Byli niedaleko brodu. Z gałązek przyjęli rosę za napój poranny i za krzakami legli jak mosty na brzegach — Widnokrąg białł nieustannie.

Wtedy — w nasileniu cel konieczny potrzebny — zaczął ze wzgórza schodzić bez planu tyralierą jako grad podniebny siwy. Rozsypał się po błoni — i na wierzbach oparł. Brzeg w promieniu brzasku go nie zjednał: — tam krzewy i mglisty opar...

Oczy niecierpliwie złożone na celowniku zza wysmukłych ramion strzegły swojej pieśni — Wzruszenie zawiśnię wonią na pierwszym promyku —

Listopad odszedł od nich najwcześniej. Trójki poszły na północ. Ich śpiew Wisłą spłynął.

obszerny i właściwszy uzyskano dopiero w obecnym gmachu muzealnym „Pod Arkadą mi”. Ale zanim do tego doszło, trzeba było stoczyć formalną i dłuższą batalię z Zarządem Miejskim, który gmach ten uporczywie przeznaczał dla Związku Pracowników Miejskich. Dopiero ostra i zdecydowana interwencja Przewodniczącego Woj. Rady Narodowej Józefa Ozgi-Michalskiego przesądziła ostatecznie sprawę na korzyść Muzeum.

Jeszcze w lutym 1945 r. zaalarmował mnie Józef Morton, pisarz ludowy, pochodzący z Chrobrza, wiadomościami o losach urządzenia podworskiego, zwłaszcza zaś najbogatszego na terenie woj. kieleckiego księgozbioru i archiwum ordynacji Wielkopolskich. Nieoszacowane te zbiory miały być wynieszone przez nieświadomą ludność okoliczną. Jasne było, że pierwszym celem wyprawy powinien być Chroberz. Ale tu stanęliśmy przed przeszkodą nie do pokonania. Przez cały marzec nie można było uzyskać samochodu; auto należało do rzadkości, boć przecież wojna była jeszcze w całej pełni. Z trąkacji konnej przy wielkich odległościach trzeba było zrezygnować. Ówczesny wicewojewoda kielecki mgr Piaskowski był bezsilny, choć sam rozumiał cel działania i pragnął nam iść na rękę.

Dopiero 4 kwietnia mogła dojść do skutku pierwsza wyprawa, historyczna dla Muzeu wyprawa chrobberska, w której obok mnie wziął udział ówczesny Naczelnik Wydziału Wojewódzkiego Kultury i Sztuki Julian Rogoziński. Rzeczywistość potwierdziła zapowiedzi. Pałac zastaliśmy ogołocony z urządzeń wewnętrznych, poza ocalałą galerią portretów rodzinnych (obrazy o treści nierodzinnej znikły) i resztek — imponujących mimo wszystko — zbiorów biblioteczno-archiwalnych. Olbrzymia sala biblioteczna przedstawiała się rozpaczliwie. Gdzieś niedługo tylko widniały na półkach szeregi książek; reszta leżała luzem na podłodze i w paru potężnych stosach. Depczano się po starych drukach, często odartych z kosztownych opraw. W dolnej lewej półce sali znaleźliśmy ledwie parę tomów ze zbiorów druków bazylijskich XVI wieku, których wedle opinii osób, znających księgozbiór chrobberski jeszcze sprzed wojny, było w nim za 100.000 franków szwajcarskich w złocie. Brak było żelaznej skrzyni z kilkudziesięciu pergaminami i dyplomami, sięgającymi czasów Kazimierza Wielkiego. To była strata najboleśniejsza. Archiwum chrobberskie znaleziono w budynku biurowym ordynacji. Leżało na ziemi, pomieszczone w kupami buraków i ziemniaków, podarte, poniszczone i splugawione. Były to resztki archiwum, które spadło na Wielkopolskich po Myszkowskich; wzbogacane z każdym pokoleniem, specjalną wartość posiadało ze względu na niewyżytkane jeszcze materiały rękopiśmienne, pochodzące z kancelarii oraz z jego prywatnych zbiorów, dotyczących okresu 1863 r. Zbiory opieczono w muzeum pieczęcią Wydziału Kultury i Sztuki; półciężarówka wróciła do Kielc, wypełniona po brzegi obrazami (m. in. przyjechał wtedy znakomity Lampi) i starodrukami.

Nad historią Chrobry zatrzymałem się nieco dłużej, gdyż sytuacja chrobberska powtarzała się z małymi odmianami prawie wszędzie, dokąd docierał samochód delegata muzealnego. Chroberz był tylko wypadkiem przeciętnym; tego, co się działo na terenie całego woj. kieleckiego, usianego obficie zasobnymi ośrodkami podworskimi, z których każdy posiadał swoje zbiory muzealne i biblioteczne, choćby nawet nie w skali chrobberskiej.

Akcja była tym trudniejsza, że trzeba było ją prowadzić na podstawie wywiadów na miejscu oraz informacji ludzi dobrej woli. „Zbiory polskie” W. Chwalewika, jak się przekonałem, były bardzo niewystarczające i zawodne. Próbowaliśmy wciągnąć do akcji informacyjnej uczestników różnych konferencji wojewódzkich, którzy odwiedzali Muzeum i Bibliotekę, ale okazało się to zawodne.

Rozpoczęto przeto nieustępliwą i konsekwentną pracę zwożenia do Kielc zabytków

artystycznych, jak i bibliotecznych zbiorów podworskich. Równolegle i na równych prawach. Trudno było bowiem orzec, co jest ważniejsze: czy stary mebel, wartościowy obraz, czy stara cenna książka. Stało się na słusznym stanowisku, że jedno i drugie jest jednakowo ważne. Twardym nakazem chwili było ratowanie wszystkiego, na co się składały niejednokrotnie wieki. Przypominam sobie argumentację swoją u czynników, dysponujących samochodami, że przewożenie zbiorów, które rosły w ciągu stuleci, jest nieporównanie ważniejsze, niż transportowanie zboża, które rośnie co rok. Dowodziłem, że po chwilowym głodzie fizycznym nastąpi u nas długotrwały głód kulturalny, którego nie będzie czym zaspokoić. Bo z samochodami było wciąż źle. Jeżeli się zdobyło samochód z Woj. Urzędu Samochodowego, brakowało benzyny, a papierowe przydziały benzynowe z Warszawy w niczym potrzebom nie zaradzały. Gdyby nie pomoc wicewojewody Henryka Baranowicza, do którego resortu należał bezpośrednio WUS (późniejszy PKS), a który na naszą prośbę umieścił wśród klientów Urzędu Samochodowego Muzeum Świętokrzyskie na drugim miejscu po Urzędzie Bezpieczeństwa, Muzeum nie mogłoby się było wywiązać ze swych zadań. Życzliwą opieką otaczał również Muzeum wojewoda Eugeniusz Wiślicz-Iwańczyk. Walka o samochody w pierwszym roku rewindykacyjnym 1945, ścierała siły i nerwy w wiecznej szarpaninie. Zwłaszcza w obliczu odpowiedzialności za wypełnienie niepowtarzalnego na przestrzeni wieków obowiązku.

W tych warunkach nielada gratką była możliwość sprowadzenia z pow. pińczowskiego kolejną wąsko- i szerokotorową parę wagonów dzieł sztuki i książek.

Już po dwóch chyba miesiącach takiej pracy, która dała jednak realne rezultaty, Naczelna Dyrekcja Muzeów widziała, że fundusze, asygnowane na akcję, nie szły na marne. Nie mogło więc już być żadnych przeszkód w dalszym szczodrym dotowaniu Muzeum Świętokrzyskiego. Dotacje nabrały charakteru niejako automatycznego.

Tzw. „zabezpieczanie” książek podworskich nie należało do bezpośrednich zadań Muzeum. Prowadziło ono tę akcję, mówiąc otwarcie, iure caduco, bo należała ona właściwie do resortu Ministerstwa Oświaty, a więc powiatowych ośrodków dyspozycyjnych tego Ministerstwa. Nie było jednak czasu na formalizowanie, bo książka w terenie z każdym tygodniem znikała. Toteż upoważnienie od Naczelnej Dyrekcji Muzeów, które otrzymałem w początku czerwca 1945 r. do zabezpieczania obok zbiorów muzealnych również i zbiorów bibliotecznych, miało swoje duże praktyczne znaczenie.

Poważną przeszkodą w organizacji wypraw był brak właściwych delegatów terenowych. Tę ciężką i odpowiedzialną pracę pełnili w sposób ciągły tylko dwie osoby pp.: Stefan Styczyński i Jan Aleksander Zaremba, po wyjeździe z Kielc pierwszego — dr Marian Witkowski.

Mimo jednak wszystkich trudności udało się w ciągu miesięcy: kwiecień — czerwiec 1945 r., a więc w miesiącach suchych, najdogodniejszych do akcji terenowej i miesiącach „krytycznych”, zorganizować 44 wyprawy terenowe, trwające nieraz do tygodnia. Wyprawy nie ustawały również jesienią i zimą r. 1945—1946, o ile oczywiście zdołano uzyskać samochód, o który nadal było bardzo trudno. O systematycznej akcji terenowej można było pomyśleć wtedy, kiedy Muzeum Świętokrzyskie otrzymało wreszcie własny samochód z przydziału UNRRA, na który do stało pieniądze od Dyrektora Naczelnego Muzeów (luty 1946 r.). Ale było jasne, że samochód własny mógłby być odegrać decydującą rolę — rok wcześniej.

Zasięg działalności wypraw obejmował teren całego woj. kieleckiego, spoza niego — powiaty: miechowski i olkuski, które administracyjnie odpadły od woj. kieleckiego, ale które utrzymać w sferze działalności Muzeum Świętokrzyskiego. W czasie późniejszym Muzeum Świętokrzyskie uzyskało od Naczelnej Dyrekcji Muzeów prawo akcji na pow. konecki i opoczyński woj. łódzkiego, prawo zresztą niewykonane wskutek trudności stawianych delegatom i Muzeum przez czynniki miejscowe.

Pierwszy rok działalności zbierackiej przyniósł plony najobfitsze, w drugim, 1946 r., plon ten był już o wiele słabszy. W roku tym z akcji brania „pełnymi garściami” trzeba było stopniowo przechodzić na coraz trudniejszą pracę wydobywania zbiorów od osób prywatnych czy instytucji niepowołanych, gdzie się znalazły zbiory podworskie. Do dnia dzisiejszego sporo jeszcze muzealiów i książek znajduje się w rękach prywatnych. Sądzę należy, że wcześniej czy później przedmioty te znajdą swoje właściwe pomieszczenie w Muzeum Świętokrzyskim i w Bibliotece Wojewódzkiej.

W wyniku całej akcji zbierackiej Muzeum Świętokrzyskie uzyskało przeszło 2000 pozycji inwentarzowych, wśród których znajdują się niekiedy pozycje jedyne i niepowtarzalne w historii sztuki i kultury polskiej (obrazy, grafika, sprzęt i porcelana); mieści się wśród nich najbogatszy chyba w Polsce zbiór portretów rodzinnych, Biblioteka Wojewódzka zdobyła do 40.000 tomów. Uderza w niej obfitość starodruków od w. XVI, idących w wiele tysięcy, książek naukowych i beletrystycznych w różnych językach europejskich, często książek o wartości historycznej; można tu wspomnieć o woluminach z biblioteki króla Stanisława Augusta, o książkach z biblioteki Adolfa Dygasińskiego itd.

Juliusz Nowak-Dłużewski

Jan Baranowicz

WIERŚE ŚLĄSKIE



Jan Baranowicz

SPIEW SŁOWIKA NAD NYSĄ

Nad miastem ruchy zrębów, oprawionych w bluszcze,
białe mleko ulewy kiśnie w trzewiach chmury.
Przez wąskie palce prochy — nim się deszcz rozplaszce
cedzi przekornie ulic zamiatacz — wiatr bury.

Nim z wymienia obłoków zdroj tryśnie, nim rzeką
ostudzi skroń i w spaźmie wysuszone gardło,
jak morskim perłopławom zmęczonym powiekom
cięży cmentarny popiół miasta, co umarło.

I lzy spływają w daleje. I łom się przyzieraś: —
czy wiatr żwirem je wygnał, czy z słodkiej są misy
słowika, co po nocy śpiewem dzień otwiera
sklepionym w nastrój arkań, cierpkim zgłiszczom Nysy.

DESZCZ W KARKONOSZACH

Powleka mgłami niepogoda
syta, skupioną regli zieleń.
Obłoki wiatr w szarańczę podarł.
Ku słońcu płyną coraz śmielej.

Już błękit zagasł. W stalaktytach
spód chmur ku stokom się wydłuża.
Ultramaryną żleb zakwita.
Jak kadz z ukropem dymią wzgórze.

Wciąż mroczniej. I naraz jak w bursztyn
w świetlisty deszcz krajobraz wsiąka.
Jakby wyłożył kto inkrustem
skały i las i mechy na łąkach.

Szum chłodu. Lśniaca kropel ospa.
Ugrzęzły w wodzie łysy kopy.
Z potoku dzwignął się wodospad.
Wali się wprost. Jak powódz topli.

Przewiał. Znow ku oczom śnieżka
powaby śle niepokojące.
W smrekowych wierzach, w żwirnych ścieżkach
tarza się żrebiec — górskie słońce.

BURZA NAD JEZIOREM OTMUCHOWSKIM

Szła burza. Gdy o tamę oparł się jej deszcz,
jezioro zmatowiło w ogromny amethyst.
Wiatr redlił gładką wodę. Jak okoń lub leszcz
ślizgał się kosmyk srebra po pęczynie grzbietów.

Szła chmura. Deszczu włosy jak bielone ln;
kudłały się nad łanem wąskolistnej łązy.
Błyskawicom ściekały z oczu złote lzy.
Cień po łące jeziora fioletem się położył.

Szła chmura. Jak rybitwa na granacie piór
wazyła się zwycięsko, gęściejsza od zmierzchu.
Bezbronna była woda, u kamiennych burt
brzęgu zebrząca łaski, bicowana z wierzchu.

Wtem wiatr, co dotąd zmudnie przy radzeniu mók,
odbił się. Gniewnie roztrząsł puchy chmurnych poduch.
Nad pagórkami, co w niebo napinał swój łuk,
wieczór odmykał słońcu ciche drzwi zachodu.

BALLADA O STARYM LOMPIE I LIPIE WOŹNICKIEJ

Liipa tu kiedyś rosła zielonym obłokiem
nad szkarpą mogił, które równał czas i człek.
To tutaj, gdy jesiennym wrzosem wieczór dokwitł,
kiedyś, w starych Woźnikach śląski Lompa legł.

Pewnie siadał tu często w odwieczny niebieski,
latem, gdy brzęczą pszczoły i gdy pachnie miód
I dumał jakby Polskę od tej czarnońskiej
lipy w krajobraz śląska flagą dwu barw wplótł.

Liczyła sobie krępa gazdocha woźnicka
trzysta wiosen a Lompa sześćdziesiąt i sześć.
Zgasły w nim niepokój. I ostrzywność wszystka.
Kościół w Lubszy. Organy. I szkoła. I wieś.

Jeno w gawędach starczych, przy niuchu tabaki,
utkane z klęsk wspomnienia z krzywą lipą snuł: —
Nędzą puchły dni chłopskie. A rady nijakiej.
Harówka. Głód i tyfus. Śmierć i wspólny dół.

Modrzewiowe kaplice milkły od rozmodleń.
W karczmach pruskich pańszczyźniak nadzieje swe grzebił.
Wileze oczy Regencji szpiegowali podłe.
Jeno to polskie słowo karmiło jak chleb.

Potem pogrzeb. Dwanaście dzieci koło trumny.
Fraki mieszczań. Wieś gęsta. I przyjezdnych garść
Z boku żandarm ostrożny. Na niebie śpiew szumny
z lipy. W dziupli pieśń drugą grała pszczoła barć.

Niech wdzięczność w zbiorze zasług znoi się łakomie.
Niech stawia głaz — choć wątpia, gdzie też spocząć mógł.
Pokażcie go Ojczyźnie! Był tym, co niósł płomień!
Po nim niósł Lud. Aż przyniósł na wolności próg! —



Rzeźba wykonana przez Piotra Kowalskiego (Sosnowiec), przedstawiająca Józefa Lompę

CHAUPA Ciurki wisiała na pagorku. Niby to była przy gościńcu jak chaupa jakiego gazdy, ale podokółkiem zacierzała w las. I dobrze, że przylegała do lasu, bo ten las Ciurkę chował. W zimie, kiedy się ino rozwidniało szedł w las do sągów. Po robocie, kiedy się już dobrze zmrokić zaczęła pracować na własną rękę. Bo Ciurka to był chłop zaganny i przemyślny. Za widoku upatrywał susyce, a nocą pokrywom haratał piłą i wrzucał do paryje. Umorosany do izna w śniegu włókł susyce w podokółek. Tu rąbał znowu na długie szczapy, jak do chlewnych pieców. A w dzień targowe przepasany pod pazuchy powrósem wioził szczapy na sankach na sprzedaż do miasteczka. Na załatanie dziur w chaupie. Trudnił się także wyrabianiem rogali, warząchew, deseczek, łopat i ciosków do chlewnych pieców — i takich „cejnijkach dupereli” jak sam swoją robotę nazywał.

Bo na Wydarty nie było na tyle pola dla Ciurki, żeby mógł z niego wychować siebie i babę z dzieckami. Może z półtora korca pola w dolinie pod chaupą sadził ziemniakami, kapustą, karpelami i siał na zmianę raz żytem, a raz jęczmieniem. A i to pole było perzaste i kamieniste. Sam kamień i pyrz — jak w złości pogadywał. Na szero- kich, zielonych półkach po tamtej stronie gościńca, kań miedze leciały do wiklin, rozporli się mostkowskie gazdy. A ino — Mostkowioki. Mostkowioki nie bali się Wydarte. Siedzieli w Mostkach bezpiecznie jak te susyce podokółkiem u Ciurki. Pola to ta mogły i „carty z mamónami” dopilnować, bodaj by ziarna nie stolały. Bo przecie na Wydarty straszło. Choć ta Ciurka nie- kiej tych strachów na sobie nie doświadczył. Za to ludziom to opowiadał cuda. Cudem boskim i swoją głową „nie na wsy” strachom poradził. Eee, bo Ciurka to był buczyrz, ho, ho! Rycyputa na całą Wydartę i okolice. W nocy, przy susycach niejedną boginę przekurzył, a jednemu strachowi co się chciał z nim mocować siekierą głowę rozchłastał na pół.

Ale zwyczajni ludzie bali się Wydarte, każdy tam przyspieszał kroku. Choć Wydarte należało do Mostków, Mostkowioki nie przyznawali się do niej. To była Wydarta niewiadomo, kiedy i przez kogo tak przezwana. Bo ni las, ni wieś, ni gościniec i pola. Zwyczajnie Wydarta. Jakby jaź- wiewcowi z pyska wydarta. Z jednej strony gościńca kilka metrów za fosą warował tajemniczy las; z drugiej strony na równi ciągnęły się puste pola aż het do wiklin. Parę chaup przykucniętych na górze nadawało jeszcze większej tajemniczości tej okolicy. A już najbardziej tajemniczo przedstawiała się muirowna wielka karczma z powybijanymi szybami, gdzie nikt nie mieszkał. Tu każdego oblatywał strach. Tu, w tej karczmie kiedyś po jarmarkach rojnej i gwarnej, wydarzył się straszny wypadek. Córka karczmarza utopiła się w studni z wielkiego kochania. Od tego czasu pono straszyla. I stary karczmarz ze zgryzu przeniósł się na tamten świat. Karczme zostawił na postrach — bo się w niej nikt nie miał zamiaru osiedlić.

Łońskiego roku przed godami, gościńcem ku Wydarty włókł się obdarty wędruś. Pogadywał do ludzi, że idzie ze szpitala. Prawie się zmrokało kiedy dołał do Wydarte. Poobzierał małe i nędzne chaupki, pomedytował — i ruszył w dalszą drogę ku Mostkom. Tam zastukał do zamożnego, o wielkich izbach domu i przymawiał się o nocleg. Ale rozparzony taką śmiałością oberwańca gazda zeszczuł go psem. Nie wiele myśląc, wędruś wrócił się ku Wydarty i powlókł się w las. Tam rozpalil ognisko żeby się ogrzać — i jakoś przy tym ognisku mu się zemzgnęło. Ciurka, co to szedł odednia ku robocie w las, znalazł wędruśa spalonego do imantu. Łachy się pod nim we śnie zajęły — i tak skończył ten marny żywot. Od tego czasu podobno straszyl. Pono co noc pali swoje ognisko. Po nocy wodził ludzi aż do białego rana jak się ta kań komu o zmroku wyda- rzyló isć lasem. Ciurka przed ludźmi miał wielką z wędruśem kompaniją. Wdawał się z nim w pogwarki w lesie. I nieraz nawet wędruśa poodgrywać lubiał.

Tak jak i dzisiejszej świętej niedzieli nie- przymierzający.

Mostkowskie ludzie szli ze sumy. Kań- niekań widziało się i zawodzoków, choć za- wodzoki mieli swoją parafiją za wodą. Ciurka usiadł na ławce przy oknie i pykał fajkę. Patrzył. Mostkowskie dziewczki były poubierane paradnie. Śmigle jak te tpo- le, urodne, wszystkie były paradne. Pod bro- dami nakrochmalone kryzy, zębate i mar- szczone, bielily się i szklily jak gufrowa- ne suknie aniołków na podważnicze przy świeczkach. A po kryzach popuszczone rze- dy koral. Gorsety aksamitne, czarne, na- bijane kwiatami paciorków i blaszek. Ni- czem krakowiaki. Tylko szumiły długimi do kostek spódnicami, bardzo szerokimi. To tak szumiły w spodzie nakrochmalone

Marianna Kościńska

NA WYDARTY

opowiadanie

halki wypuszczone haftami na wierzch. Zapaski długie, koronkowe albo z muslinu przebiły jaskrawość spódnic. Na głowach strzępiaste chusteczki jedwabne lub z kazmierku. Najsmętniejsze to były chy- ba aże trzy Olchawianki. Wysokie, cieniut- kie w pasie, wypuściły z pod chusteczek wijące się, kasztanowate włosy na roze- śmiane twarze. Ale i Ciaglonki swojocki mogły się z nimi równać. Te tak samo do- rodne, czarne i smagłe. Małych, karłowatych dziewczynek nie znalazłbyś tam ze świecz- ką. Nawet te wyrobnice, te komornice były dorodne.

Ciurka lubiał się na te parady patrzeć. Pykał fajkę i kiwał głową. Choć ta i w Ha- meryce był ale takiej parady nikań nie widział jak Mostkach.

Gęzwata w mowie baba Ciurki, krząta- jąca się dotąd koło obiadu, wlaża teraz w drzwi i oparta o futrynę zerkała także w okno ciekawie, opędzając się od czasu do czasu dwójką małym reptokom Rózi i Franusiowi.

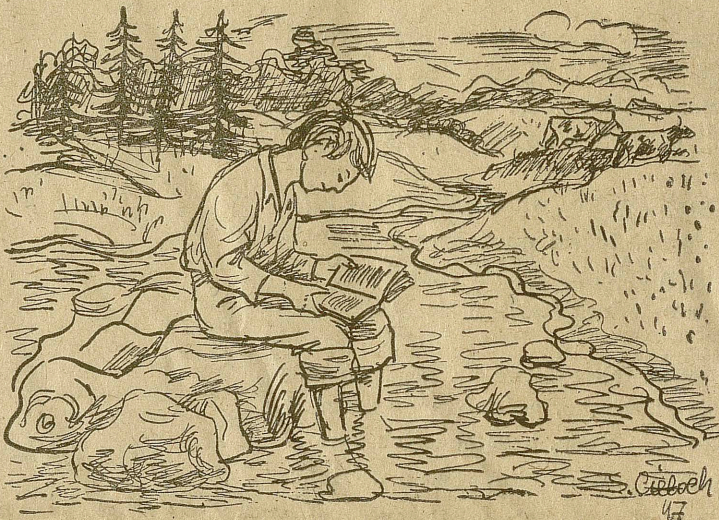
Na gościńcu, poniekąd dziewczki i nawet starsze baby, te komornice, wyrobnice i biedniejsze krewniaczki, zetknąwszy się oko w oko z zamożnymi gazdami przyku- cały i oblatywały gazdów za nogi. Był to rodzaj powitania i oddania czei chłopskim

garze i nawet deski na pułapie. Wiadomo — Wydarta. Wszędy po Wydarty tak po- zierali ludzie. Ni to strach ni ciekawość. Ku chaupie Ciurki choćkiej tak pozierali. Ale teraz patrzyli jak na gusła. Jakby jego baba — ni carownica, knyeila masło w oknie. Z jednej strony, Ciurkę mierzyły te wybulania oczu — ale, z drugiej strony dawały mu kapkę uciechy. Dzisiaj postano- wił wypłatać ludziom figla. Doskoczył do hamerykańskiego kufierka i wyciągnął ha- merykańskie portki potargane w zadzie do izna. Łachami co były na podorędziu wy- pchał portkom ryć i nie wiele myśląc przystawił portki do okna. I zaczął nimi myrdać tak dziwnie jakby się żywy chłop zwijał z boleści od oparzenia w za- dek. Przy tym brzescał ni jaźwiece, ni kot — i borał ni krowa przy ocieceniu, albo — co nie daj Boże — przy puceniu.

Dwoje małych reptoków Rózia i Franuś picyły się ze strachu. A baba śmiała się gęzwatym śmiechem do rozpuku.

— Nie śpasuj ze Józek, nie śpasuj — mitogowała chłopą, ale tak od niepeci.

Początkowo ludzie się także śmiali. Ale w miarę jak Ciurka kuglował amerykań- skimi portkami, ludzie zaczęli się cofać ku fosie. Dziewki żegnały się krzyżem świę- tym. I nagle, jak oderwane z zaczarowa-



rys. St. Cieloch

doczesnym dobrom w morgach i żywności.

— Jo bym ta nikię tak chłopów za nogi nie łapała — odezwała się Ciureyna. — To nie honor, to wstyd lo baby.

Ciurka przestał pykać fajkę.

— Jako mi grofka... — odpowiedział — Ale jakbyś musiała isć do Mostkowioków na zarobek to byś inacy purycowała.

— Jee! — zachnęła się baba. — I za zorobkiem chodziła jakiem dziopom była, alem chłopów nikię za nogi nie łapała!

— Jakie tam twoje zarobki, jakie? — kiwał się Ciurka.

Kupa zowadzich ludzi z gościńca zata- mowała zaogniającą się dyskusję. Dziewki nie były takie prymne jak Mostkowiarki. Nalane. Przysadziste. Krótkie. Co trzecia zakrywała chusteczką wola. A i parobki z za wody dźwigali pod szyją wola, jedni większego, drudzy mniejszego. I pozierali ku śmigłym i urodliwym Mostkowiakom.

— Bryćkie tys to te ludzie z zo wody bryćkie — zafuczała przez nos Ciureczyno. — Same niedochadłoki. Wolowoco.

— Letniki od Jonika godają, że to z wody — wyjaśnił bez przekonania Ciurka. Ciureczyno wyciągnęła ku oknu rozdętą szyję.

— I jo tys jes z zo wody, a jaką mom gładziuką syję — o! — dla unicestwienia takich poglądów gaskała się demonstra- cyjnie po szyi — kań ta z wody, kań? — posuwała się pod okno, ku światłu. — Jaką to mom gładziuką syję — o!

— Ooo, bo to prawda... — chłop uśmiechnął się z łagodnym powątpiewa- niem. — Ale, ze to nie z wody, to i jo tak penetruję na mój gupi rozum. Bo i jo bez porę ręków zowodzka wodę pijol, a wola nimom. Na mój gupi rozum to jo tak pe- netruję, że to jes od plemienia. — Jakie łojce takie dziecka. Jakie plemię, taki ród. Tak jak i żywizna i ziarno. Jak żywizna i ziarno pykne, to i ród pykny. Jak nasiejes cystego zyta, to ci sie cyste urodzi. A jak nasiejes z kółkiem, to mos som kółko.

Wywody zostały nagle przerwane. Ciur- ka nagle odskoczył od okna, dając znać babie żeby się odsunęła także. Ludzie, któ- rzy przedtem spoglądali tylko w przecho- dzie ukradkiem ku jego chaupie, teraz gru- powali się, przystawali i i ni to z cieka- wością, ni ze strachem wpatrywali się w szybki jego izdebki. Wpatrywali się upor- czywie w górę, jakby chcieli zliczyć tra-

nego koła zaczęły uciekać w popłochu. W biegu Mostkowiakom trzepotały korale o krochmalone kryzy z takim pobrzękiem jakby ksiądz potrząsał tacą z pieniędzmi w kościele. Parobki się tak nie uwijali — ale i oni zaczęli przyspieszać kroku. Nawet ci najwięksi bucarze ruszyli z miejsc a z lekkim dreszczykiem po ziołach.

Ciurka przestał mająd portkami. Uśmiechnięty, usiadł na ławce pod oknem i trzymał portki w dwu palcach, jakby się ich okropnie brzydził.

Roześmiana baba zajęta uciszaniem dzie- ci w kuchni gagała przez szparę drzwi w izdebce.

Tylko Izidor siedział na stołeczku pod piecem pochylony nad książką, jakby był z gliny. Siedział tak odkiej przysnął bydłeta z pastwiska. Nie miał nijakiego zaintere- sowania nawet dla śpasów ojca. Ciurka patrzył ku niemu z niechęcią. Miał go ochotę łotnąć pasem przez plecy, ale przy świętej niedzieli nie chciał obrażać Boga. Zaciął ino zęby i przepowiedział do cho- doka po dobremu:

— Coz sie tak kiwaces nad tom książ- kom jak nieprzymierzając dziad nad mis- kom kapusty?

Izidor oderwał głowę od książki. Twarz mu się świeciła i po obu stronach czoła wystąpiły dwa guzy jeszcze mocniejsze jak ich miał zawdy.

— Coz ta w ty książce stoi? Co tam opisują?

Izidor nie patrzył w ojca ino kansi da- leko. I jakimś odległym głosem nie z tego świata zadzwieczał cienko i czysto:

— Opisują o wielgim i, barz piyknym lessie. Piykny las... piykny las... — powta- rzał sam do siebie — Drzewa to tamok ta- kie wielgie jak naskie góry.

Łocię grzebał patykkiem w fajce za bagą. Po chwili trzepnął fajką parę razy w dłoń i zgarnywał bagę pieczołowicie niby ziarenka pszenicy z pod przetaka. Zręcz- nym ruchem wrzucił bagę do ust i zaczął żuć powoli. Zapatrzonny w miedzę pół, aż het do wiklin, mówił bez nijakiego zainte- resowania:

— Las jak las... wszędy jednaki. Ino ze z daleka bury, a z bliska zielony. Wszędy jednaki...

— Nie wszędy! — odskrzyknął Izidor. — Tu w książce stoi...

— Tamok se mogą inacej durkować —

przerwał spokojnie Ciurka. — Ale jakby temu panu co tę książkę układał przysło isć do lasa na siagi i ciupać siykirom bez calutki dzień, toby sie mu odnieciało las- sowi cudować.

Izidor wsadził z powrotem nos w książkę.

A Ciurka stanął w oknie i mamrał:

— Ty ino cytej... ooo, dy cytej... Bow sie w Hejmeja. Świyc Panie nad jego du- som — ale z książek mu sie wej w głowie pokiełbasiło. Z cytania zgwarzyjów. Taki gazda... A potem to dziadował po chau- pak. Ludzie się s niego śmioli. Z książek mu się zmysła popsnily. A ty ino cytej... Bo z cytania wyzyjes...

Taką to miał Ciurka biedę z chodokiem. Niewydarzony. Niby nie niedochadły — a przecie był nieruchawy. Spórki z niego nija- kiej nie było. Nic — ino czytał. Przy kro- wach czytał. W chaupie czytał. Kiedy było najwięcej roboty — wyjmował książkę z pod śpihlerzyka i umykał w las. Tam czytał. Sąsiady się z Ciurki śmiali. Niby to w oczy szklili mu, że ma ciętego i roz- garniętego chodoka, ale poza oczy krecili głowami. Ciurkę to pucyło. Nieraz łamał sobie głowę, żeby chodoka postać do szkół. Ale im bardziej nad tym rozmyślał tym bardziej dochodził do przekonania, że nie wydoi. Bo z czego? Głowy se nie obet- nie. Z chodoka byłby dobrodziej — albo i taki co to mierzy — geometra. A tak to zwariuje jak nieprzymierzający niebosz- czyk Hejmej. Już teraz nierychtyk. Patrzy w las jak zbój — a przecie czyk ma jak jego patron Oracz święty. To imię także Ciurkę mierzało. Izydor. Na całe okolice nikt takiego imienia nie miał. Ni to ży- dowskie, ni siakie, ni owakie. Cudaczne. A z tym imieniem to było tak: ksiądz w pa- rafii zachorował i zastępował go jakiś nie- tutejszy. A, że to było w maju, nałal no- worodkowi imię Izidor, nie zapytawszy się gapiowatych, niewygadanych kumów, czy się na to zgadzają. Pokropił — i prze- padło. Co to potem było to szkoda przy- pominąć. Ciurka przekurzył kumów na cztery wiatry, a babę chciał sprać, ino że uciekla w las. Wróciła dopiero na drugi dzień kiej chłopu co najgorsze przeszło. Ten wypadek długo obgadywano na wier- chu Wydarte i nawet w dalszych okoli- cach.

A Ciurka krył się w izdebce. Sąsiadom co to zlatywali się na przepatry, na prze- śmiechy i chcieli się dowiedzieć jakie do- prawdy ma dziecko imię, odpowiadał:

— Jak mu jes to mu jes, najworniejse, ze krzeczy.

I butem poruszał bieguny kołyski.

Czasami kiwał długo czarną jak maź, naznaczoną dwoma wieńcami niedużą głow- ą. Po takich kiwaniach zakradał się za- wsze do skrzyni i wyciągał z półskrzynka grubą, nabożną książkę z pieśniami. Jak- by chcąc przebieć tajemnicę niezwykłego imienia przewracał kartki i czytał o świę- tym oraczu. Podobał mu się ten oracz świę- ty. Święty — a jaki to zaganny. Któremu świętemu by się to chciało za pługiem cho- dzić. Gdy jednak doczytywał do słów pie-śni: „A On bije i katuje, jeszcze zabić o- biecuje” — wtedy zawdy kładł delikatnie książkę na okienku i mamrał cosi do sie- bie. Bo Ciurka kochał żywnie i nikię nie łotnął by bydlęcia, a co dopiero: bić — katować — zabić obiecować. I znówu nie podobał mu się ten oracz święty. Jaki to — psia mać — bez sumienia — a świę- ty! — buntował się przeciwko takiej świę- tości. W miarę jak Izidor podraszał Ciurka przyzwyczajał się, zapominał o tym bolo- ku. Chłopaka nie wołał nigdy imieniem, ino zwyczajnie: chodok.

Po obiadowaniu Izidor wyprowadził kro- wę i celił się ze stajni. Przewiązał rogi Mur- cochy powrozem, celił się przywiązał do po- wroza i pognął bydłeta wyżętą miedzą na- przelaj do wiklin.

— Poziroyj ta na bydło — nie w książ- kę — upominał łocię przez okno.

Izidor wraził pod pozuchę książkę, któ- rą trzymał już w ręce i miał zamiar otwo- rzyć. Na polach cicho było i uroczyscie. Niedziela. Białawym odcieniem owsa falo- wał wiatr nasycając powietrze orzeźwiają- cym chłodem. Piękne były urodzaje na ró- wni. Pszenice i żyta — samo złoto ze sre- brem. Połyskliwa ciemnozielona nać bura- ków odcinała się soczystością od popielatej naci karpeli. Miedze błyszczały pasmami świeżej trawy. Od wiklin niosły się pobrze- kiwania krowich belkotów, zmieszane z szu- mem Dunajca.

Pod bielaniem rozwiązał krowy i puścił je samopas. Tu Dunajec był płytki; dwa razy zmieniał koryto i wystawił kamieniste dno na powietrze. Izidor podkasał prt- czeta. Brodząc do pół lydek w wodzie do- tarł do wysepki. Z kamieni zmajstrował siedzisko i z włożonymi w wodę nogami zabrał się do czytania. Bo też miał piękna książkę — o piękna. Tytuł: W pustyni i w puszczy. Choć znał już sporo książek, ni- kiej jeszcze takiej pięknej książki nie czy- tał. Od samego tytułu leciały żywiczne za-

pachy i jakieś przestronne dale, tak że od pomyślniku nad tytułem już robiło się biogo na wnątrzu a po ziobrach cliwiły paciorki. Izydor cały był pochłonięty książką. A krowy skubały trawę.

Słońce kłaniało się ziemi coraz niżej. Kiej ją ułapiło za kolana Izydor podniósł głowę. Jakby chciał przebić wzrokiem afrykańskie puszcze patrzył za brzeg Dunajca kań szeleściły potężne bielany. I nagle przypomniał sobie o bydłach. Cały nieprzytomny jeszcze z czytania zaczął pędzić przed siebie. Ani krowy ani — cieli pod bielaniem nie było. A słońce kłaniało się ziemi niżej i niżej.

Izydor gwałt przed siebie.

— Mur-co-o-o-cha! Mur-co-cha-a-a! Cie-li-i-i-ś! Cie-e-e-ś! wołał z całych sił.

— O-cha-a-a! I-i-i-ś! — odpowiedziało mu echo.

Wpadł w gęstwę wiklin.

Łykowate, mocne pręty wikli cięły mu twarz i tamowały ruchy. Przystawał, nasłuchiwał — i znowu pędził naoslep. W drodze rozpytywał pastuchów, ale wszyscy se z niego i z jego bydłał bimballi. Nikto bydłał nie widział. Na polanach rozważał, który obrać jeszcze kierunek. Zgonił już wszędzie. Był w mostkowskich i zawodzkich wiklinach, na piątym cyplu, na gminnych i wygońskich pastwiskach, — ale krowy przepadały jak klucze w sianie. Nagle usłyszał wołanie któregoś z pastuchów.

— I-zy-dó-ó-ó-ór! I-zy-y-y-dór!

— I-zy-dó-ó-ó-ór! — głos się przybliżył — kro-wy — sie-pa-sa — pod — gór-ka-mi — w Lot-ko-wym — ko-ni-cu-u-u!

Strach postawił Izydorowi szczeniaste włosy do góry. Zdrętwiało mu siedzenie. Pod przyciśniętą do piersi książką stanęło serce jak kompas nienakreślonego zegara. W mig był już pod polami. Na górkach krowy szarpały żarłocznie koniczyne. Izydor wyszczerzył zęby, obejrzał się za siebie, nikał nikogo nie było. Znacząc miedziowym stuknięciem miejsce rzucił książkę w Ciągłowe żyto. Z ulgą dopadł do bydła. Z zaciętością prał bydła po zadach gietkim biczykiem. Gonił naoslep przez jęczmiona, przez pszenice i żyta, przez karpeliska i buraczyska ku chaupie. Pękate niby beczulki tarasząc urodzaje wyrwały żarłacznie buraki i karpiele w biegu. Zaczęły robić bokami. Murcocha burczyła i jak człowiek w nieszczęściu gnała do ludzi po ratunek. Tylko cieliśia rzucała się na boki i słabła w nogach.

— Krowy mi pucy-y-y! — darł się w niebogłosy Izydor.

Gdy krowy wpadły w oborę Izydor onieprzytomniał.

Skurczony stanął pod ścianą śpichlerzyka i jak w mgłę widział i słyszał poruszających się i jazgocących ludzi. Gwar ludzkich głosów mieszał się z niesamowitym burczeniem krow. Z bólu pokładały się na ziemię. Jak w mętnej wodzie, Izydor widział zakasane po łokcie ręce matki sięgające pod ogon Murcochy, wygarniające z kiszek łajna. Ktoś krzychał: aleus. Ktoś wołał: nafta. Ktoś doradzał: amoniak. Ludzie ugniatli pękate krowskie boki i wlewali w pieniące się pyski lekarstwa.

Powoli uciszało się burczenie krow. To pomógł aleus wydobyty ze skrzyni u Noworyty, gdzie był przechowywany jak świętość.

Przed oczami Izydora mignęła spocona twarz matki.

— No, kwała Bogu. Kwała Bogu — odezwała się.

A do łojca przepowiedziała na boku:

— To bez te hamerykańskie portki. Pan Bóg nos pokoroł. Bo z nieboscykiem, jesse z takim co strasy nikiej nie trza granić!

— No, no — odpowiedział Ciurka i pożałował na Izydora.

Ciurka nie lotnął by bydłecia. Kochał wszelką żywność. Do Izydora podszedł i zgrzytnął zębami jak nieprzytomny grzesznik w piekle. Zgrzytnął zębami a fajka trzepotała mu w rękach niby kokosia przy macaniu. Wrażł fajkę za pasek i — nagle zamierzał się i grzmotnął chodoka w łeb. Prał „oczy nie oczy, głowa nie głowa”. Izydor kurczył się, skamlał, zasłaniając się rękami jak tarasą. Ciurka dyszał gwałtownie:

— Ty sietniku! Ty sosiu! A naści... Bedzies pożyroł na bydło — nie w książkę! Bedzies?! A naści!...

Zaciekle padały kulaki.

— Dejcies mu juz pokój! Zabijecie chodoka! — piszczały baby.

— Poprawić mu! Niek na więcy razy pilnuje bydła! Poprawić mu — przygadawali chłopci.

Izydor cofał się. Krew pociekła mu nosem i walała zasłaniające się ręce.

Zza ogrodzenia przyglądali się bitce Noworyty wyrostki. Powraskiwali uprawianym w wypadkach bicia rymem:

— Krzyc ze byku doś! doś! doś!

Bo ci pęknie w łepie koś!

Ciurka pożałował nienawistnie za ogrodzenie, chwycił Izydora za kark i pchnął go z całej siły od siebie aż grzmotnął twarzą o trawnik.

I powoli, nie uwijający się odchodził ku chłopskiej gromadzie.

Izydor miał twardą głowę. Podniósł się i powlókł w las. Ciemniało mu w oczach, lecz uśmiechnął się do przyglądających się mu ciekawie Noworycioków. Dopiero pod lasem rzucił się o ziemię, podkulił nogi pod siebie, plecy wygiął w pałąk

Tadeusz Orlewicz

BULGARSKIE AKTUALIA ROLNICZE

Bulgaria jest krajem zdecydowanie rolniczym o bardzo ostro występującym zjawisku przeludnienia wsi. Na 1 km² użytków przypadało w Bułgarii 116 ludzi. Olbrzymi głód ziemi uwidoczniał fakt, że na 1 osobę przypadało tylko 152 ary powierzchni uprawnej.

Struktura agrarna Bułgarii opierała się na drobnych (do 1 ha — 17%) małych (od 1 do 4 ha — 47,8%) i średnich (od 4 do 8 ha — 26%) gospodarstwach chłopskich, one bowiem razem stanowiły 90,8% wszystkich gospodarstw rolnych i zajmowały 54,8% ogólnej powierzchni uprawnej. Około 40% z tych podstawowych gospodarstw dla struktury rolnej przedwojennej Bułgarii ziemię dzierżawiło od gospodarstw większych albo za zapłatą w pieniądzu, albo w naturze czy też w odpłacie odróbkowej.

Proces rozdrabniania ziemi był w Bułgarii bardzo wyraźny. Dotyczy to grup podstawowych dla ustroju rolnego tego kraju, które były nadmiernie obciążone długami i przez sprzedaż części swego małego obszaru ratować się musiały od ekonomicznej zagłady. Jednocześnie jednak zjawisku temu towarzyszył proces pomnażania powierzchni gospodarstw wielkowieksztoskich i majątków obywatelskich. Te ostatnie w okresie od 1926 roku do 1934 r. wykazywały wzrost przeciętnej powierzchni ziemi z 73,5 ha na 87,9 ha. Pow szechnie stosowany był średniowieczny system dwupółwki, nawozy sztuczne były na wsi bułgarskiej rzeczą niemal nieznaną a maszynizacja rolnictwa i zastosowanie do pracy na roli zdobyczych technik i wiedzy stały na punkcie prawie zerowym. Te przyczyny postawiły Bułgarię w dziedzinie produkcji rolnej na jednym z zupełnie ostatnich miejsc wśród państw europejskich.

Kryzys w rolnictwie powodował szczególnie ciężką sytuację chłopów. Była to sytuacja biedoty obciążonej nadmiernie zobowiązaniami dłużnymi. W roku 1922 obliczono zadłużenie rolnictwa bułgarskiego na 13,5 miliardów lewów. Z tej kwoty znacznie więcej niż połowa, bo 8 miliardów lewów przypadało na zobowiązania chłopów wobec lichwiarzy, firm pośrednictwa handlowego i prywatnych banków. Przykrećcenie sruby podatkowej i wzrost obciążeń zadłużeniowych pauperyzuje chłopów bułgarskiego coraz silniej. Około 1,2 miliona zbędnych na wsi było jeszcze jednym z wielu ciężarów rolnictwa.

Przeprowadzana w latach międzywojennych reforma rolna objęła w okresie 11 lat (1922—1932) tylko 285.000 ha ziemi, z których 220.000 ha było sprzedane ludności wiejskiej wg cen z roku 1905—1915 ze zwwyżką 20% ową. Spłaty były rozłożone na 30—50 lat. Wobec tego jednak, że reforma ta była wykonana zaledwie w części i budziła zasadnicze zastrzeżenia wobec niej zawsze właścicieli kryteriów przy nadawaniu ziemi, nie przyniosła ona w efekcie żadnych specjalnie korzystnych zmian w bytowaniu wsi bułgarskiej.

Okres okupacji niemieckiej był okresem generalnego rabunku gospodarki bułgarskiej. Rząd renegatów postanowił, że każde gospodarstwo chłopskie o obszarze do 3 ha ziemi może zatrzymać na swój użytek tylko 175 kg ziarna na cały rok. A było takich gospodarstw w Bułgarii 40,2%. Dla gospodarstw większych od 3 do 6 ha (31,1% ogólnej ilości gospodarstw) ustalono normę 1080 kg ziarna, która miała zaspokoić całoroczne potrzeby gospodarce. Rolnik musiał sprzedawać plody rolne po niskich cenach rządowi, a więc praktycznie Niemcom. Cyfry mówią wyraźnie o tej grabieży. Pomijając artykuły przemysłowe i surowce przemysłowe Niemcy w okresie 1941—1944 wywieźli z Bułgarii m. in.: 4900 ton mięsa i przetworów mięsnych, 128.000 ton tytoniu, 265.000 ton owoców, 376.000 ton ziarna, 4,4 milionów sztuk owiec, 3,1 milionów sztuk trzody chłewnej, 765.000 sztuk ptactwa domowego, 130 milionów jaj. To tylko cyfry wywozu i to wywozu oficjalnego. Do tego dodać trzeba znane metody grabieżców hitlerowskich i fakt, że na swój własny użytek dla swoich wojsk i urzędów, stacjonujących w Bułgarii, okupant zabrał 1.700 ton węgla kamiennego, 466 milionów jaj, 323.000 sztuk drobiu, 197.000 ton przetworów owocowych, 75.000 ton świeżych owoców itp.

Obszar ziemi ornej przeznaczonej na uprawy zbożowe zmniejszył się, ale i zmniejszył się przeciętny zbiór z 1 ha zboża, paszy, kar tofi itp., co stanowiło naturalną konsekwencję rabunkowej gospodarki i pogłębiającej się ekonomicznej nędzy chłopów bułgarskiego. W ślad za tym przychodzi spadek ilości pogłowia bydłeciego, trzody chłewnej i drobiu. Brak dostatecznej ilości paszy daje w skutkach zmniejszenie przeciętnej wagi sztuki rzeźnej oraz spadek w produkcji mięsa, mleka, jaj, wlosia itp.

i z wsuniętą w mech głową płakał długo i gorzko.

NIKTÓRE MNIEJ ZNANE WYRAŻENIA GWAROWE

1. podokółek — kryty dachem przejazd, łączący stajnię z spichlerzem.
2. susyce = uschnięte jodły.
3. ciosek = przyrząd do wygarnywania ognia z chlewnych pieców.
4. jaźwiec = legendarne, dzikie zwierzę, rodzaj żbika.
5. podważnica = choinka uwiązana u sufitu.
6. swojok, swojocka = przybrane dzieci.
7. niedochadły = niedorozwinięty.

8. patycek = zapałka.
9. бага = osad z tytoniu w fajce.
10. zmysła = umysł.
11. cięty = o żywym temperamencie.
12. rozgarnięty = inteligentny, bystry.
13. nierychtyk = pomylony (używane w sensie ironicznym).
14. wieniec = w tym wypadku układ włosów na ciemieniu.
15. bolok = wrzód.
16. bellkot = dzwonek uwiązany u krowie szyi.
17. chliw = laskotać.
18. kompas = wahadło u zegara.
19. granicyć = przelewać granice.

Marianna Kościńska

Co słychać w gospodarce świata?

otrzymują ze spółdzielczego funduszu ziemi swój odpowiedni udział. Rozliczenia dokonywane są corocznie i czysty dochód spółdzielni dzielony jest pomiędzy jej członków. Nadto członkom, którzy wnieśli do spółdzielni jako udział — ziemię, wypłacana jest tenuta dzierżawna w wysokości ustalonej przez walne zgromadzenie spółdzielni. Na okres trzech najbliższych lat robocze spółdzielnie gospodarstw rolniczych są wolne od wszystkich podatków. Spółdzielnie korzystają z poważnych kredytów bankowych, udzielanych im na dogodnych warunkach przez Bułgarski Bank Rolnictwa i Spółdzielczości.

W Bułgarii przeprowadzana jest zasada, że ziemia należy do tego, kto ją uprawia. 12 marca 1946 r. parlament bułgarski uchwalił ustawę o „roboczej własności ziemi”. W myśl tej ustawy nie wolno nikomu posiadać na własność więcej ziemi niż 20 ha z wyjątkiem południowej Dobrudży, gdzie obowiązuje maksymalna granica 30 ha. Osoby, które same nie obrabiają ziemi, mają prawo otrzymać tylko 5 ha ziemi. Podział obszaru gospodarstwa rolnego poniżej ustalonego minimum jest niemożliwy, ponieważ albo gospodarstwo, przed którym stoi konieczność podziału, zostaje sprzedane państwowemu funduszowi ziemi, albo staje się gospodarstwem spółdzielczym. Ziemia wywłaszczona, splacana jest obligacjami państwowego funduszu ziemi, oprocentowanego na 3%.

Ustawa o reformie rolnej w Bułgarii licząc się ze specyficznymi warunkami miejscowymi ustanawia zasadnicze dwa typy gospodarstw: a) indywidualne, oparte na pracy właściciela i jego rodziny oraz b) spółdzielcze, oparte na pracy zespołowej.

Obszar dla roboczego gospodarstwa rolnego stanowi dla całego kraju normę ustawową i wynosi przy nadaniach 5 ha ziemi z wyjątkiem południowej Dobrudży, gdzie norma ta podniesiona jest do 8 ha. Rodziny chłopskie, obciążone licznymi dziećmi otrzymują na każde trzecie i następne dziecko po 1 ha ziemi dodatkowo ponad normę. Drobni rzemieślnicy, robotnicy rolni, samorządowi itp. mają prawo otrzymać przydział ziemi w granicach do 50% ustawowej normy powierzchni. Za ziemię przydzieloną rolnicy płacą państwu cenę ziemi z roku 1935 pomnożoną przez 6. Spłata jest rozłożona na 20 lat, przy czym przy obejmowaniu ziemi wpłata wynosi 5% ogólnej ceny, reszta zaś jest rozłożona równomiernie na poszczególne lata. Inwalidzi wojny wyzwoleńczej oraz ich wdowy i sieroty korzystają ze zniżki 50%, a członkowie roboczych spółdzielni gospodarstwa wiejskiego — 40%. Ziemia przydzielana jest wraz z pełnym tytułem własności.

W chwili obecnej ustawa ta w Bułgarii jest wykonywana w całej rozciągłości i przewiduje się zakończenie akcji, przepisanej jej postanowieniami, na koniec bieżącego roku. Wg danych z grudnia 1946 r. parcelacja objęła wówczas 48 ośrodków, szczególnie ostro przeżywających kryzys agrarny. Państwowy fundusz ziemi nadał wtedy 100.000 ha ziemi. Kończy się parcelacja w Dobrudży, gdzie przez wywłaszczenie nadwyżek gruntowych uzyskano 83.500 ha ziemi.

Są to pierwsze etapy reformy rolnej. Po parcelacji należy się liczyć z bardzo wyraźnym przestawieniem systemu produkcji i zmianą rodzajów uprawy. Łączy się to z koniecznym rozwojem przemysłu krajowego, który musi nastawić się nie tylko na zaspokajanie rosnących potrzeb rolnictwa w zakresie maszyn, narzędzi, nawozów sztucznych itp. ale musi przygotować się do racjonalnego przetworstwa produktów rolno-hośdowlanych.

W OSTATNIM 32 (111) NUMERZE „WSI” z dnia 17 sierpnia 1947 roku:

Julian Rataj — Dwuletni plan gospodarczy Czechosłowacji; Ludwik Łakomy — Chłopskie drogi do morza; Poezja dla dzieci — Bronisław Marciniec — Nowy chleb; Zygmunt Stolarski — Rozmowa z chorą dziewczynką; Tadeusz Chrościelewski — Zar-ptaszek; A.F. Kirlo-Nowaczyc — Córeczce Jance; Tadeusz Muras — Młyn; Anna Kamińska — Rymarz; Adolf Olechnowicz — Wróci (opowiadanie); Anna Kamińska — Idealizowana dyskusja o poezji; A.F. Kirlo-Nowaczyc — Realizm zaklętego kregu; Piotr S. Ziarnik — Edward Marzec — poeta realistyczny; Antoni Bohdziewicz — Zagadnienie filmu widziane od strony wsi; Tadeusz Orlewicz — We Francji jest ciężko z chlebem; Jerzy Fałenciak — Chłopskie wczasy; 9 ilustracji. Komunikaty — Ogłoszenia.

Wiktor Woroszyński

Przedstawienie „Burzy” Szekspira w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi

I. BASŃ O MĄDRYM PROSPERZE

Prospero, książę Mediolanu, zaginiony w badaniach naukowych, powierzył ster państwa swemu młodszemu bratu, Antonio. Ten, powodowany nadmierną pychą i ambicją, dokonał przy pomocy króla Neapolu, Alonza, zamachu stanu i zagarnął tron. Prospero zaś z kilkuletnią córką kazał sługom umieścić w łódce i puścić na pełne morze. Ojciec z dzieckiem uratowali się dzięki temu, że jeden z dworzan Alonza, Gonzalo, dał im na drogę żywność, wodę, różne sprzęty i wydobyte z książęcej biblioteki czarodziejskie księgi. Te wszystko pomogło im przetrwać na morzu aż do chwili przybycia na bezludną wyspę, gdzie odtąd zamieszkali.

Powyższych perypetii, stanowiących zawiązek akcji szekspirowskiej „Burzy”, widzowie nie oglądają na scenie. Opowiada o nich Prospero — swojej dorosłej już córce, pięknej Mirandzie.

Dramatyczny zaś punkt wyjścia jest inny: burza na morzu — na okręcie, wiozącym nieznanym nam jeszcze dostojników, wybucha panika... Okręt tonie.

W następnej scenie ma właśnie miejsce wyżej przytoczona rozmowa Prospera z Mirandą, zakończona wyjaśnieniem, że statek, który przed chwilą zatonął u brzegów wyspy, wioził prosperowych wrogów: wiarołomnego Antonia i Alonza z dworem.

Już od pierwszych chwil, gdy Prospero pojawia się na scenie, zdajemy sobie sprawę, że stoi przed nami mędrzec i czarnoksiężnik. Inscenizacja, obficie operująca wszelkiego rodzaju bajkowymi rekwizytami, jak stylizowana luneta, różdżka, płaszcz pokryty zagadkowymi wzorami, nie pozostawia w tym kierunku żadnych wątpliwości. Nie dziwi zatem wyrażone w rozmowie przekonanie Mirandy, że to jej ojciec spowodował burzę i katastrofę statku.

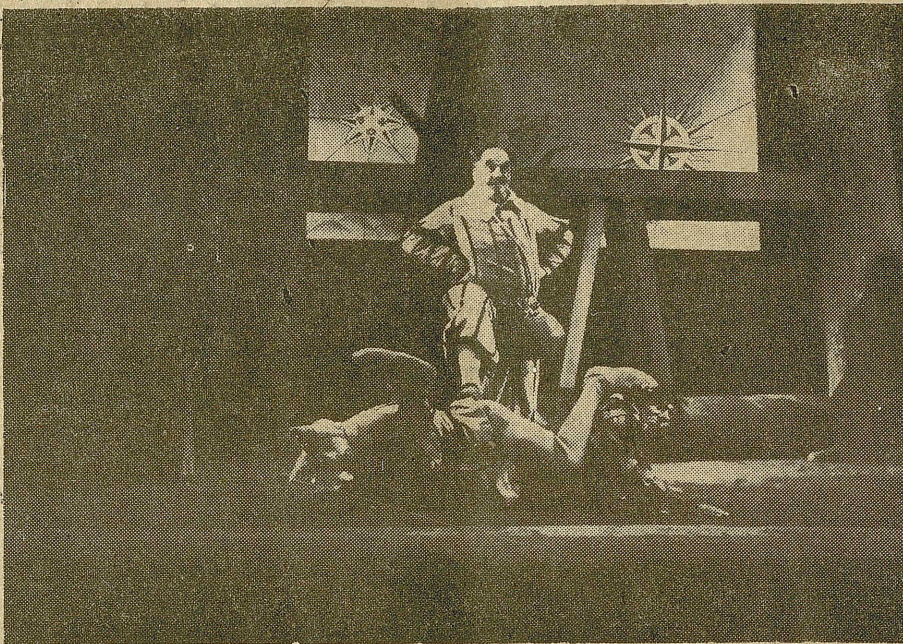
Od tej chwili, aż do końca nie zostanie pominięta ani jedna okazja pokazania cudownych umiejętności wywłaszczającego księcia. Za pomocą tych umiejętności będą stwarzane i rozwiązywane sytuacje tak dramatyczne jak komiczne, wiedza tajemna zbuduje kościół akcji i będzie motywem, wygranym do ostatecznych możliwości. Pod magię będą zresztą podciągnięte również posunięcia Prospera, oparte na zjawiskach, umotywowanych dziś przez naukę: na przykład pod koniec owej ważkiej rozmowy, stanowiącej niezbędne tło dla zrozumienia dalszych wydarzeń, czarodziej hipnotyzuje córkę i usypia ją, aby nie była świadkiem jego spotkania z podległym mu duchem, Ariel.

Ariel przybywa na wezwanie swego pana, ażeby złożyć sprawozdanie z wykonanych czynności. Tu zostaje uchylona następna zasłona z zagadkowej tragedii, która rozegrała się na początku — i jednocześnie z dalszych wydarzeń, których bieg jest przez pryzmatywnego Prospera nie tylko przewidywany, ale w dużej mierze inspirowany. Intryga nie zawiązuje się w „Burzy”, jak w większości komedii, przez konflikt różnych przeciwnych sobie dążeń i spłót nieporozumień, lecz jest wynikiem świadomego zamiaru czarownika, umiającego nią kierować, aby w końcu doprowadzić do sobie tylko wiadomego celu. A więc okazuje się, że domniemana burza była wykonanym na rozkaz księcia dziełem Ariela. Domniemana — bowiem, jak ze sprawozdania ducha wynika, burza i zguba okrętu były złudzeniem. Ariel przeniósł pasażerów na wyspę, gdzie ich rozprószył na grupy, okręt zaś z marynarzami ukrył w bezpiecznej zatoce. Prospero wydaje następny rozkaz: duch ma zamienić się w nimfę i zwać się Ferdynandem, syna króla Alonza, przed chatką czarnoksiężnika.

W tym miejscu należy się zatrzymać nad mechanizmem pojawiania się i znikania Ariela, a przed tym jeszcze — na dekoracjach. Zadanie dekoratora w „Burzy”, jak zresztą w ogóle w sztukach Szekspira, niezbyt hołdującego zasadom jednoci akcji, czasu i miejsca, nie należy do najłatwiejszych. W „Bu-

rzy” po scenie na okręcie akcja odbywa się w różnych stronach wyspy, następuje częsta i szybka zmiana miejsca: po scenie przed chatką Prospera odbywa się scena w okolicy, gdzie Ariel umieścił króla Alonza z dworzanami, później w lesie, z powrotem przed chatką Prospera itd. Łatwiejsze do zrealizowania byłoby to może na scenie obrotowej. Niestety, Łódzki Państwowy Teatr Wojska Polskiego, gdzie Leon Schiller wystawił „Burzę”, takiej sceny nie posiada. Co uczynić, by nie rozbić jedności sztuki?

Poradzono sobie w ten sposób, że stworzono pewien niezmienny jak głąbyskielet dekoracji, do którego w różnych scenach do-



Kaliban, Trinkulo i Stefano. Scena z obrazu 4-go. Widoczna dekoracja Wł. Daszewskiego.

dowywano niektóre zmienne elementy. Do owych niezmiennych dekoracji należała stylizowana piękna średniowieczna mapa, umieszczona na tylnym planie — na tle mapy tej odegrano zarówno scenę rozbicia okrętu, jak wszystkie przygody na wyspie — oraz dwa szerokie słupy po bokach, połączone pomostem nieco nad wysokością człowieka. Zależnie od miejsca akcji dochodzi tu jeszcze chatka Prospera z budą Kalibana, egzotyczne pnąca lasu albo skały wybrzeża.

Ariel zjawia się zawsze na pomoście. Pomość jest konstrukcją najwyraźniej konwencjonalną i schematyczną — zgodnie z milczącą umową traktuje się go nie jako rzeczywisty materialny pomost, wybudowany przez kogoś na bezludnej wyspie, ale jako coś niestniejącego, powietrze, w którym kołyszą się duchy bezcielesne, a jednocześnie jako niezbędne ramy nieprawdziwego obrazu. Odpowiednio do tego pojawienie Ariela zaaranżowane jest z największą prostotą: najwyraźniej posuwa się on po pomoście lekkim, tańczącym krokiem; wyraźnie widzimy też jego twarz i figurę — to nie jest jakaś ucieleśniona, szeleszcząca gazą abstrakcja, ale kobieta z krwi i kości — pełna uroku Ryszarda Hańsin. Takie ujęcie jest nie tylko bliższe duchowi elżbietańskiego teatru, ale żywiej, jak się wydaje, działa na widza.

Przeciwieństwem pięknej i wzniosłej postaci czystego ducha Ariela jest Kaliban, potwór, o którego istnieniu słyszemy jeszcze w rozmowie Prospera z duchem, i który w chwili później ukazuje się na scenie.

Kaliban w świetnej kreacji Leona Pietraszkiewicza, odziany w rybnią łuskę człowieka o dzikiej twarzy, zmierzwiuonych włosach i ogromnych brunatnych stopach, podobny do glinianego bałwana — Golema z fantastycznej powieści Meyrinka. Mówi donośnym ochrypłym głosem, patrzy spode łba, rusza się ociężałe i niezgrabnie, Kaliban jest synem

zmarłej na wyspie czarownicy; serdecznie nie nawidzi Prospera, któremu musi służyć i spełniać najcięższą robotę.

Pierwsze pojawienie się Kalibana na scenie nie nosi charakteru ekspozycyjny: nie się nie dzieje, za wyjątkiem pełnej obelgi i przekleństw „rozmowy”, której zadaniem, jak i poprzednich rozmów z Mirandą czy Arielem, jest uzasadnienie obecnego stanu rzeczy i położenie logicznych podwalin pod właściwą akcję. Dowiadujemy się zatem, że niegdyś stosunki między Prosperem a Kalibanem oparte były na wzajemnej sympatii i równości, Prospero uczył dzikiego potwora mowy ludzkiej, ten zaś wskazywał mu własności wyspy, jej

różdżki czarodziejskiej... Jak inaczej to nazwać, jeśli nie fantazją!

Ale czym się tłumaczy, że owa fantazja z epoki renesansu przemawia dziś do nas, dla czego współczesny widz wzrusza się scenami, oklaskiwanymi trzysta kilkadziesiąt lat temu przez bywalców londyńskich teatrów The Globe i Blackfriars?

Idealistyczna krytyka usiłowała i usiłuje interpretować twórczość Szekspira jako ponadczasową i ponadklasową, odzwierciedlającą uczucia i przeżycia właściwe w ogóle człowiekowi. Materialistyczne literaturoznawstwo widzi w dziełach Szekspira, jak zresztą każdego innego wielkiego twórcy, przede wszystkim pomnik epoki. Siła Szekspira polega w tej interpretacji na wielostronności, plastyczności i głębokim ujęciu współczesnej mu rzeczywistości. Obrazy Szekspira są obrazami wieku, zdarzenia — etapami dziejów, przeżycia i myśl bohaterów stanowią uogólnienie uczuć i myśli klas całych, postępowanie ich ma wydzźwięk społeczny.

Zadaniem reżysera powinno być wydobywanie na powierzchnię głównych nurtów epoki, pokazanie konfliktu namietności jako konfliktu społecznego, uzasadnienie ideologii przez historię. Wtedy dopiero sztuka Szekspira może stać się dla nowych odbiorców kultury czymś więcej, niż fikcją psychologiczną, zabiegowym tępem choć odległym, ale przecież rzeczywistością.

Cała dotychczasowa działalność Schillera i Daszewskiego świadczy, że są oni zwolennikami tego poglądu. I w „Burzy” wiele akcentów rozłożono w ten właśnie sposób. Owa wspomniana wyżej mapa, nie znikająca ani przez chwilę ze sceny, jest świetnym symbolem, skrótem myślowym, nie pozwalającym zapomnieć o umiejscowieniu komedii w czasie i przestrzeni. Doskonałe, prawdziwe psychologicznie i historycznie są postacie Alonza (Węgrzyn), Antonia i Sebastiana, których każde słowo, każdy ruch jest uzasadniony jednym z zasadniczych niefantastycznych konfliktów sztuki — walką o władzę w ściśle określonych przez ustrój feudalny warunkach.

Są jednak inne zagadnienia sztuki, potraktowane przez inscenizatora mniej konsekwentnie. Ciekawszym niewątpliwie od walki o tron elementem treściowym „Burzy” jest pobyt i panowanie Prospera na wyspie oraz jego stosunek do Ariela i Kalibana. Szekspir wyraża nie darzy sympatią mądrego Prospera, za jego przykładem czyni to również Schiller.

Zastanówmy się, wolni od sugestii scenicznych reflektorów, kim są właściwie Prospero i Kaliban?



Izis, Juno i Ceres. Scena z obrazu 9-go.

Drugim wątkiem są przygody na wyspie króla Alonza z dworzanami — to dalszy ciąg walki o władzę. Wiarołomny Antonio namawia królewskiego brata, Sebastiana, do zamordowania króla: następcą tronu, Ferdynand, zapewne utonął, więc on, Sebastian, zostanie monarchą. Plany te krzyżuje wysłany przez Prospera Ariel, on też przypomina Alonzowi, Antoniewi i Sebastianowi ich zbrodnię, popełnioną na księciu Prosperze i doradza żal serdeczny. Niekają ich przy tym różne dziwne zjawiska, jak np. niezwykle postacie, które przynoszą żywność i zabierają ją z powrotem, nie pozwalając się posilić zgłodniałym rozbitek. To wszystko działa na psychikę winowajców, okazują żal i skruchę i wtedy — już w ostatnich scenach — Ariel prowadzi ich przed chatę Prospera, gdzie następuje ogólne pojednanie się i przebaczenie grzechów.

Wreszcie trzeci wątek — to dzieje Kalibana, który przy pomocy dwóch dworzan królewskich — piwniczego Stefana i trefnisia Trynkula, pragnął zemścić się na zienawidzonym Prosperze, ale i jego mordercze zamiary oczywiście nie doszły do skutku (czary!), i on wreszcie pod koniec wyraził skruchę, uzyskując przebaczenie Prospera.

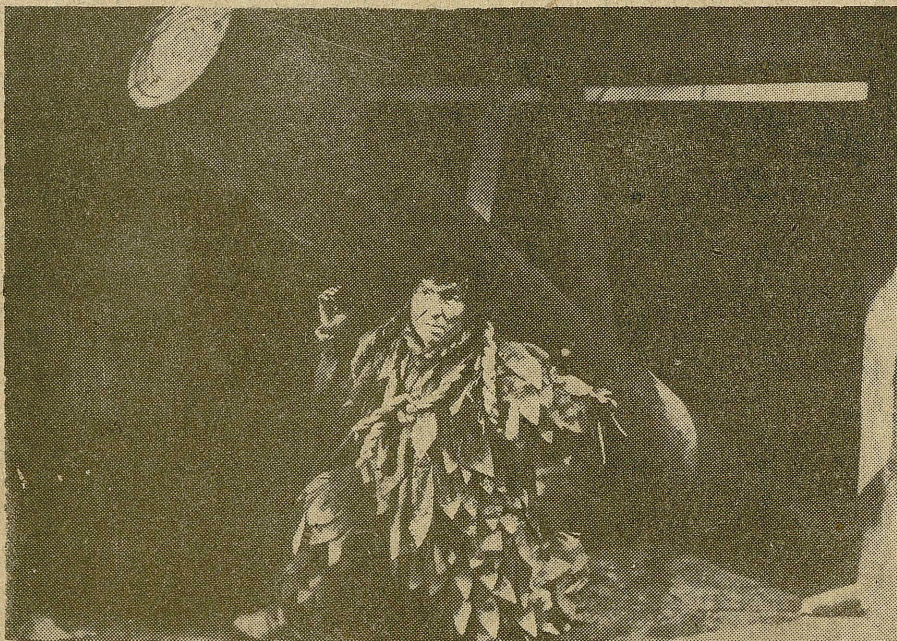
W ten sposób mądry i wspaniałomyślny Prospero, przeciwstawiając się światu, który pozbawił go tronu, wypędził na bezludną wyspę i czyhał na jego życie, — siłą ducha oraz umysłu zniweczył wroga zanysły. Prospero wraca jako zwycięzca do ojczyzny, świat odzyskuje harmonię, prawo i sprawiedliwość spowrotem w nim zapanowały. The happy end?...

II. FANTAZJA I RZECZYWISTOŚĆ

Recenzenci „Burzy” jednogłośnie niemal uznali ją za widowisko fantastyczne. Jakaś wyspa, gdzie się dzieją rzeczy niezwykle, przebywają istoty nierealne, duchy i potwory, gdzie ludzie, sami nie wiedząc o tym, postępują w myśl życzeń czarnoksiężnika, charaktery i zamiary zmieniają się na skinięcie

Szekspira tworzy w chwili, gdy w Anglii szybko kroczy naprzód rozwój wczesnego kapitalizmu i rozwija się przezeń uwarunkowany kryzys feudalnej kultury. Zagadnienie równości stanów jednakowo ostro stoi wówczas przed mieszczaństwem, jak i arystokracją. Gospodarcza potęga przechodziła w dłoń mieszczaństwa, przywileje polityczne zatrzymywała szlachta. Mieszczaństwo, osmielony coraz głośniejszym brzękiem ziota w sakwach, żądał równości politycznej. Arystokracja sprzeciwiała się. Spór ten rozwiązała po części w pół wieku później purytańska rewolucja. Jednocześnie plebejusz-kolonizator w zdobytych krainach zaczął się stykać z dzikimi tubylcami — oczywiście i tym stosunkom daleko było do jakiegokolwiek równości.

Na tym gruncie niejako na „zamówienie społeczne” powstał obraz Kalibana — symbol ludzkiej nierówności, wynikającej rzekomo nie ze społeczno-gospodarczych, ale biologicznych i fizjologicznych przyczyn. W oczach arystokracji Kaliban jest upostaciowaną czernią, plebejem; w oczach bourgeois — Kaliban to kolonialny dzikus.



Kaliban w kreacji Leona Pietraszkiewicza. Scena z obrazu 4-go.

Aluzje do takiego pojmowania potwora znajdujemy u Szekspira: po pierwsze samo imię Kalibana jest anagramem kanibala (ludożerca). W tekście „Burzy” jako miejsce akcji są wspomniane Bermudy, a więc w tych latach odkryte egzotyczne wyspy, — znowu wzmocniony jest pierwiastek realności. Bóstwo, które czci Kaliban, Setebos, zostało opisane przez Magellana, który parędziesiąt lat przed powstaniem „Burzy” podróżował po Patagonii.

Fantastyka tej postaci coraz bardziej znika. Kaliban nie jest monstrum z rybem ogonem, jakim niegdyś chcieli go widzieć niektórzy inscenizatorzy, ale człowiekiem — człowiekiem uciśkanym, dołajnym.

A Prospero? Czy to nie o nim pisał niegdyś Engels, omawiając powstanie w Anglii nowej warstwy społecznej szlachty, parającej się handlem i żeglarswem, wrastającej w mieszczaństwo, kierującej się już nie tyle nieokrzesanymi namietnościami, ile chłodnym rozumem:

„...ich zwyczaje i dążności były znacznie bardziej burżuazyjne niż feudalne. Znali oni doskonale wartość pieniędzy i zabrali się odrazu do podwyższania swej renty gruntowej, rugując w tym celu setki drobnych dzierżawców...” („O materializm historyczny”, K. Marks „Dzieła wybrane”, Książka 1947, str. 415). Prospero również świetnie zdaje sobie sprawę z wartości produktów pracy ludzkiej. Wyzyskując Ariela i Kalibana, ma zawsze gotowe obliczenie w rodzaju: „dwa-nastacie lat siedziabys w słońcu, ja cię wyzwolę, zrób to i to”. U Kalibana wyklęta najpierw dobrocią wszelkie pożyteczne wiadomości i umiejętności, a później, niby fachowy kolonizator, czyni „tubylca” swoim niewolnikiem, któremu każe ciężko pracować, torturując go w dodatku (ciekawe, że kary zawieszane są wymierzone z iście handlarską ścisłością — „za to przekleństwo spędzisz tę noc w kurczach, pijawki cię obsędą i tak gęste porobią ciebie, jak komórki w ulu; a każde ciębie bardziej boleć będzie, niż ukaszenie pszczoł, co je budują” — nieomal odczuwa się w dekoracji tych scen brak księgi rachunkowej i liczydła). Cóż dziwnego, że wbrew wysiłkom zespołu Państwowego Teatru Wojaka Polskiego, oglądający „Burzę” widz odczuwał głębokie przekonanie, iż targnięcie się żyjącego prymitywnymi odruchami Kanibala na cnotę Mirandy stało się dla Prospera jedynie pretekstem całego dalszego postępowania względem dzikusa. Istniały, mam wrażenie, dwa wyjścia z sytuacji przy interpretowaniu konfliktu Prospero — Kaliban: albo zredukowanie do minimum scen przedstawienia się Prospera nad Kalibanem i lichwiarskich obrachunków z Arielem, — w tym wypadku udało się może narzucić publiczności przekonanie, że Prospero jest władcą świątym i sprawiedliwym, godnym tytułu księcia Mediolanu nie tylko z racji pochodzenia, albo też przedstawienie Prospera we właściwym świetle i całkowita rehabilitacja Kalibana, uzyskana m. in. przez usunięcie nużących i niesmacznych scen blażenskich, — wtedy nie pozostałoby miejsca na pozorny happy end, podczas którego Prospero tuli do siebie pokonanego Kalibana, łaskawie mu wybacząc, — wydobyłby się zaś na powierzchnię prawdziwy tragiczny nurt „Burzy”. Nurt zupełnie realny, ani trochę nie fantastyczny.

Jest jeszcze jedna scena o silnym realistycznym wydźwięku społecznym, potraktowana przez Schillera niezbyt właściwie, jak się zdaje. Niedługo po rozbiciu okrętu błądzi po wyspie zrozpaczony król Alonzo z grupą dworzan, wśród których znajduje się staruszek Gonzalo, ten sam, który niegdyś uratował Prospera. W pewnej chwili Gonzalo zaczyna fantazjować na temat „gdyby był królem”:

„Ład bym zaprowadził, odwracając cały rzeczy porządek.

Handlu by nie było, ani bogactwa, ani też ubóstwa.

Zniósłbym poddaństwo, własność i dziedzictwo,

granice włości i wszelkie podatki.

Kruszec dobywać z ziemi bym zakazał...”

W tych pięknych słowach drwiczą wyrażenie echa „Utopii” Tomasza Morusa.

Jak wielkie jest różnicowanie, widza, gdy po chwili i na przestrzeni całej dalszej akcji okazuje się, że Gonzalo jest starym gadatliwym głuptakiem, który pod koniec nie pamięta od czego zacząć. Nie dziwmy się dworakowi króla Jakuba (cała trupa Burbage’a z Szekspirem na czele nosiła w owym czasie królewską liberję), że umieszczając w sztuce tak światoburczą tyradę, postarał się ją zawoalować manifestacją, iż nie traktuje poważnie głosicieli tego rodzaju ideologii. Była to nieunikniona wówczas ostrożność. Reżyser zamiast przywrócić głosicielowi rewolucyjnej idei właściwe proporcje, pozwolił mocno zabrzmić przetransportowanym na język poezji słowom prekursora socjalizmu, pogłębił akcenty nie tylko groteskowe, ale wręcz antypatyczne (lizusostwo). Rezultatem tego była nieciekawa postać w nieprzekonywującej sytuacji. Tak zaprzepaszczone jeszcze jeden nurt społecznej rzeczywistości w „Burzy”.

Można wiele pisać o łódzkim wystawieniu „Burzy” — było to wraz z poruszonymi mankamentami widowisko nieprzeciętne. Impionowała praca, którą musiał w to włożyć reżyser i dekorator, aktorzy wszyscy prawie okazali się na poziomie. Słusznie przyznano nagrody festivalowe!

Nie od rzeczy będzie też wspomnieć o ilustracji muzycznej Kiesenwettera, Raczkowskiego i Wilkomirskiego, opartej na motywach elżbietańskich. Muzyka ta stanowiła świetne przejście między odsłonami i dyskretnie podkreślała renesansowy nastrój przedstawienia.

Wiktor Woroszyński.

Franciszek Kotula

PRZYDROŻNA SZTUKA

Z ust wielu entuzjastów sztuki ludowej często słyszy się zdanie, że nie można dzielić sztuki na inteligentną i ludową, że sztuka jest jedna a są tylko różne jej stopnie rozwoju, etapy technicznej doskonałości. Czy nie mylą się? — czy między sztuką ludową a inteligentną nie ma różnicy zasadniczej? Przecież sztuka inteligentna jest realizacją pewnych założeń estetycznych, formalnych, pewnych koncepcji, które mają znowu związek z innymi dziedzinami życia. Tymczasem sztuka ludowa jest par excellence utylitarna.

też ślubna koszula była nie tylko częścią stroju, ale przede wszystkim przedmiotem magicznym. Na zachowanych okazach zdumiewa tak ogrom włożonej pracy, jak i delikatność palców. Wnuczka tamtej dziewczyny w magię już nie wierzy a jej religijność bardzo różni się od babeczynej.

Powróćmy znowu do kapliczek, do jednego ze szczytowych wyrazów duchowej kultury naszego narodu. Tu dzieje się coś podobnego, jak z ową ślubną koszulą. Wnuk wstydy się świątka, niezdarnie przez dziadka wyrzezaną.



Oplakiwanie Chrystusa — rzeźba z kaplicy (żołnierze w mundurach austriackich XVIII — XIX w.). Fot. Kusy Antoni.

bezporednią, ma więc bardzo wiele stycznych ze sztuką najpierwotniejszą, powiedziałbym nawet; jest dalszym jej ciągiem.

Wiele rozważań wysnuło na temat rysunków ludzi jaskiniowych. Niektórzy badacze doszli do wniosku, że są one symbolami magicznymi, czyli, że miały cel wybitnie utylitarne: były zaklęciem czy życzeniem, aby rysującemu udały się łowy tj. zdobycie pożywienia.

Pobróbujmy poprzez to szkielek popatrzyć na sztukę ludową. W najbardziej charakterystycznych i najwybitniejszych swoich przejawach nie ma ona nic wspólnego z jakąkolwiek spekulacją, jest właśnie wybitnie utylitarne. Bo czemuż są w swej istocie kapliczki, figury czy pasyjki, jeśli nie pewnego rodzaju magicznymi symbolami, mającymi na celu albo przebagać Pana Boga za przewiny, ustrzec przed niebezpieczeństwem, uprosić błogostawieństwo, albo wręcz podziękować za coś? Czy nie są one symbolami, podobnymi do rysunków na ścianach jaskiń wrytych?

Garncearz zdobi płaszczynę gliny. Ale ta glina w swej istocie jest miską lub garnkiem, w których gotuje się jedzenie lub się zeń je. Czy my dzisiaj wiemy, co znaczą a raczej co znaczyły wymalowane na miskach ptaszki, listki, linie lub kropki?

Jakieś tam warszaty czy spółdzielnie kolarne, kto dziś na wsi, już nie sztuka, to przemysł. Kto dziś na wsi, już nie przy łuczywie a przy lampie elektrycznej i nie na cienkim, bawełnianym, ale na grubym, zgrzebnym płótnie haftuje mozołnie subtelne wzorce, aby było ładnie ubrać się w niedzielę do kościoła? — Kiedy przecież można kupić szmatki tak bajecznie kolorowe, że oczy rwia!

A muzyka? — pieśń ludowa? — te tylko miały prawo obywatelstwa, które służyły do tańca. Zaś czym był taniec w swej pierwotnej formie?

Od czasu I-ej wojny światowej w wsi naszej zaszły wielkie zmiany. Tak na terenie kultury materialnej, jak i duchowej. Współczesna cywilizacja o międzynarodowym charakterze opanowuje wieś polską coraz szybciej i coraz gruntowniej. A jest rzeczą wiadomą, że neofici z nowej dla nich dziedziny najożęście biorą to, co jest najmniej wartościowe, często wręcz ujemne. To jest naturalny bieg rzeczy.

Jeszcze nie tak dawno rzeszowska dziewczyna musiała swemu narzeczonemu wyhaftować ślubną koszulę i to nie było jak! Bo

go. Porównawszy go z gipsową figurką Matki Boskiej z Lourdes, kupioną na targu w Rzeszowie, widzi go brzydkim i śmiesznym. Czy obrazić się na niego? — wątpię w jego religijność? Broń Boże! On dopiero liźnął nieco cywilizacji, do kultury dojdzie dopiero



Matka Boża jako Królowa — rzeźba w kaplicy Glinik Charzewski. Fot. Kusy Antoni.

może jego wnuk i z kolei wyrzuci gipsową figurkę, chociaż przypuszczalnie też będzie religijny. Ale w międzyczasie jak my się mamy ustosunkować do starego świątka i no, wściekłej Matki Boskiej z Lourdes?

W czasie ostatniej wojny, przez sale Muzeum Miasta Rzeszowa przesunęło się trochę cudzoziemców, znawców i miłośników sztuki. Nawet koło wartościowych dzieł sztuki inteligentnej przechodzili obojętnie — tyle ich w życiu widzieli... natomiast rozkrochmalali się w hall zabytkami sztuki ludowej. Podziwy, zachwyty... brała ich ta prymitywna bezpośredniość — wreszcie westchnienie żalu, że u nich na zachodzie, od lat już nie ma sztuki ludowej. A jeśli coś jeszcze jest, to przemysł ludowy. Zazdroścą jej nam, nie wiedząc, że nasza też zamiera. Seigamy zachód zawzięcie i dopędzamy go. Ale — zdobywszy jedno, stracimy drugie. I trzeba się z tym pogodzić, że sztuka ludowa z czasów naszych dziadków nie utrzyma się i mimo największych wysiłków, nie jej nie zregeneruje. Ostatecznie można ją naśladować, ale

to będzie przemysł, nie sztuka. Wszystko to nie mówi jednak, że tego co się dziś zachowało, nie należy za wszelką cenę chronić i ratować. Jako dokumenty naszej własnej kultury, legitymacje naszej odrębności narodowej, a równocześnie źródła rzetelnych wspomnień i szlachetnych natchnień.

W całokształcie sztuki ludowej rozróżnić można wiele działów. Powstały one zależnie od potrzeby. Między dziełami monumentalnymi, jakimi są drewniane kościoły a figlarnymi pisankami, są całe gamy. Wiele działów już zaginęło, inne giną. Ze świecą dziś szukać glinianych kropielniczek, jakie niedawno jeszcze wisiały przy drzwiach chat, nie znajdzie już świątków glinianych a przecież były.

Znaną jest powszechnie dola polskiego chłopca w okresie poddaństwa i pańszczyzny. Doczesne jego położenie było ciężkie i bez widoków zmiany. Zwłaszcza na Podkarpaciu, gdzie to i zagony tatarskie szalały i przeróżne bandy. Temu chłopcu pozostawała często jedynie nadzieja na zmianę doli po śmierci, na lepsze czasy na drugim świecie. A więc... co w chłopie było twórczego, wyładowywało się właśnie w sztuce religijnej.

Patrząc na Chrystusa Frasobliwego, na „Świątą Turbacyją”, czy nie widzi się ciężkiego, spracowanego chłopca pańszczyźnianego, który bez tchu usiadł na ławie, wsparł głowę na dłoń i duma o swoim twardym losie?.. Jakżeż często twarz Matki Boskiej jest jakimś symbolicznym portretem wieśniaczki polskiej, ze smutkiem patrzącej na bezdroża, boży świat.

Kapliczki przydrożne bywają wyrazem ambicji czy nawet próżności człowieka. Władom, że te czynniki odgrywały dużą rolę w stosunkach między ludźmi. Wynikiem tego jest, że kapliczki budowało się przeważnie koło dróg, koło swej chaty, aby przechodzący, czy pozdrawiając je, poniekąd i fundatorowi składali hołd. Ileż to nazwisk spotyka się na cokołach figur, na belkach krzyżów... ile sentencji! — zbadawszy dzieje gruntu, na którym kapliczka stoi, można dojść kto ją fundował, do jakiej klasy fundator należał, jaką rolę we wsi odgrywał.

Poza wartością artystyczną, historyczną i społeczną, kapliczki i figury przydrożne są typowym dla polskiej wsi elementem krajoznawczym. Krajoznaz ten zmienia się coraz bardziej. Niemal zupełnie wyginęły tak organicznie kiedyś z wsią związane drewniane kościoły, stojące wśród drzew prastarych. Znikają dwory, padają pod siekierą stare lipy czy dęby, ustępując miejsca rzędom sadom, dachy wiejskie błyskają cynkową blachą i dachówką.

Mimo powstania i działania przeróżnych instytucji, towarzystw, oddziałów i wydzięków, zajmujących się sztuką ludową, stare najcenniejsze okazy, te pierwotne, bezpośrednie, niszczące w tempie błyskawicznym. Wiele tego przyczyn. Jedną z nich, o czym już wspominałem, że lud, jeśli nie wstydyli się swojej pierwotności, to przynajmniej jest wobec niej obojętny. Zwłaszcza, jeśli zabytek stoi na „cudzym” placu, zanikła tradycja i pamięć o fundatorach — wówczas nikt nie poczuwa się do obowiązku opiekowania się nim. Gniją tedy gontowe dachy, wypadają drzwi, ktoś wybija okna... Bywa, że zabytek staje się zawadą przy stawianiu domu czy innej budowy. Wówczas zachodzą nawet wypadki świadomego dewastowania.

To jeszcze nie wszystko. Rzesze pseudo-miłośników i znawców sztuki ludowej wykradają z kaplic świątka, które ze swą oprawą i miejscem rodzinnym tak organicznie są związane.

I wreszcie: ileż to corocznie ręka wnuka czy prawnuka bez skrupułów wyrzuca z kapliczki „bożków” i zastępuje je gipsowymi figurkami lub oleodrukami, kupionymi na



Glinik Charzewski — Kapliczka przy drodze Rzeszów — Jasło z pocz. XIX w. (dach zupełnie zginił). Fot. Kusy Antoni.

jarmarku czy odpuszcze. A „bożków” pali się aby się nie poniewierali.

Muzeum regionalnym w terenie należy oddać „sztukę przydrożną” pod opiekę i wyposażyć je w środki do wykonywania tej opieki.

KOMUNIKAT DYREKCJI KIN OBJAZDOWYCH

W czasie tegorocznego Miesiąca Odbudowy Warszawy we wrześniu r. b. zostanie uruchomionych na terenie Rzeczypospolitej Polskiej 70 Kin Objazdowych Filmu Polskiego.

Kina Objazdowe wyświetlą filmy poświęcone zagadnieniu Odbudowy Warszawy.

W ciągu miesiąca września Kina Objazdowe zgodnie z opracowanym planem odwiedzą

1.275 wsi, miasteczek i osad robotniczych, pozabawionych ośrodków kulturalnych.

Kina Objazdowe Filmu Polskiego dadzą 2.924 seanse przy możliwej frekwencji ponad 400 tysięcy widzów.

Powiatowe władze gminy proszone są o okazanie Kinom Objazdowym pomocy na miejscu w zrealizowaniu imprezy.

Film ze Zjazdu pisarzy tygodnika „Wieś” w Rytwianach

Fragmenty z taśmy Polskiej Kroniki Filmowej

nr. 30



OBJAŚNIENIE:

1. Pałac radziwiłowski, dziś Ośrodek Rolny Związku Samopomocy Chłopskiej w Rytwianach. Pisarze przed pałacem.

2. Przedzjazdowe rozmowy.

3. Park rytwiański.

4. Obrady w parku.

5. Stanisław Piętak, Zygmunt Sierp, Stanisław Nędza-Kubiniec.

6. Seniorzy pisarstwa ludowego: Józef Kapuściński, Piotr Stopczyk, Piotr Wyrobek.

7. Henryk Bilka, Wincenty Burek, A. F. Kirio-Nowaczyk.

8. Stanisław Witowski, Czesław Schabowski, Józef Pogan.

9. Józef A. Frasik, Stanisław Piętak, Stanisław Nędza-Kubiniec, Zygmunt Sierp, Józef Kapuściński, Piotr Stopczyk, Piotr Wyrobek.

10, 11. Obrady w parku.

12. Piotr Stopczyk. W głębi: Seweryn Skulski i Adolf Kotarba.

13. Maciej Czuda przemawia.

14. Prezydium Zjazdu przy stole: Wiesław Jazdzyński, Leonard Sobierajski, Jan A. Król, Anna Kamińska, Tadeusz Papier.

15. Leonard Sobierajski, Jan A. Król.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król
Redaguje: Komitet

Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.
Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wieś” Łódź, Piotrkowska 133, II p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik”
Łódź, ul. Zwirki 2 017811.